9 771898 308011 32

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 3.08.2026
Nr 62 (2573)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

MAGAZYN • STR. 5

Panika w Europie po ataku migrantów na Ceutę

Kryzys migracyjny w Ceucie został opanowany przez władze Hiszpanii. Ale Europa z przerażeniem patrzy na ten kryzys



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

MAGAZYN • STR. 3

„Grill" Morawieckiego, czyli początek walki o wyborców

MAGAZYN • STR. 6–7

Olgierd Budrewicz, podróżnik i powstaniec warszawski

SPORTOWY 24 • STR. 21

Siatkarze obronili złoto po bardzo zaciętym meczu z USA

eprasa.pl f0a4de73b8

POLECAMY

PIĄTEK: Marcin Najman, były pięściarz bryluje w mediach społecznościowych. Dlaczego?

3.08.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Lidii, Nikodema, Augustyna
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta



Mózg, psyche, nefesz

Dusza istnieje, ale jest czymś innym niż sądzono, mianowicie - emergentną cechą mózgu. Taką opinią ksiądz Wojciech Grygiel, będący zarazem naukowcem i akademickim wykładowcą, bulwersuje konserwatywnych publicystów katolickich. O co chodzi z tą emergencją? Grygiel tłumaczy na przykładzie węgla: może on mieć m.in. postać grafitu albo diamentu, które różnią się budową, ale dla chemika to ten sam pierwiastek. Podobnie jest z ciałem i duszą, które są niejako różnymi poziomami człowieczeństwa.

Wniosek z tego taki, że być może bez mózgu nie ma duszy. A co z dziećmi nienarodzonymi lub osobami, których mózg przestaje normalnie funkcjonować na skutek takich chorób jak alzheimer? Czy mają duszę? Grygiel przywołuje znany z fizyki termin „potencjalność", choć przyznaje, że wkraczamy w rejestry trudne do ogarnięcia dla ludzi nieobeznanych ze współczesną nauką, więc swoich poglądów nie zamierza wygłaszać z ambony. Niemniej przypomina, że chrześcijanie duszę (psychē) wzięli od Greków, bo hebrajski „nefesz" ze Starego Testamentu odnosi się do całego człowieka.

Kłopot polega na tym, że pogląd Grygiela jest przyjmowany przez konserwatystów jako negacja duszy jako takiej, co dla nich musi się skończyć materializmem i zniszczeniem istoty człowieczeństwa. O naukowcach z koloratką myślą oni jak najgorzej, choć akurat z Grygielem łączy ich tradycjonalizm. Należy on bowiem do Bractwa św. Piotra, które powstało po pierwszej ekskomunice lefebrystów (Bractwo św. Piusa X) w 1988 r., gdy część z nich podporządkowała się papieżowi. I oni mają zgodę Watykanu na mszę po łacinie. Jak widać, Grygiel to nietuzinkowy człowiek - jako ksiądz łączy umiłowanie tradycji z pasją naukowca.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Liliana Sonik
publicystka



Mur Pamięci czy niepamięci?

W 2009 roku Amazon usunął z czytników Kindle kupione przez użytkowników e-booki: „1984" i „Folwark zwierzęcy" George'a Orwella. Okazało się, że książki sprzedano z naruszeniem praw autorskich. Klientom zwrócono pieniądze. Ale nie pieniądze są tu istotne, tylko moc technologii. Ktoś z zewnątrz zdecydował, że naciśnie klawisz z napisem „usuń!". I trzask prask, nie ma! O zgodę nie pytali.

Powodem takich usunięć może być np. dbałość o polityczną poprawność. Nawet w wielkiej klasycznej literaturze znajdziemy fragmenty pisane językiem, który dziś wydaje się nie do zniesienia lub podpadające pod paragraf piętnujący tzw. mowę nienawiści. A co jeśli jakaś instytucja zechce je usunąć? Bo można bez problemu cyfrowo zapisane teksty i obrazy zmieniać lub eliminować. Chyba że zadbaliśmy o posiadanie ich na papierze, we własnej szufladzie, gdzie ich nie dosięgnie magiczna ręka technologicznych decydentów. Takie zabiegi ostrożnościowe mają sens tylko w przypadku dokumentów szczególnie dla nas ważnych.

Dla mnie ważna była deklaracja Donalda Tuska odnosząca się do Muru Pamięci. Premier mówił: 11 lipca przypada rocznica krwawej niedzieli, czyli apogeum zbrodni wołyńskiej. Było to ludobójstwo dokonane przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach i obywatelach polskich i innych narodowości ziem wschodnich II Rzeczpospolitej. [...] Zamordowani nie mogą pozostać bezimienni, nie mogą zostać bez godnego pochówku. Pamięć o nich to nasz wspólny obowiązek: wobec ich bliskich, wobec narodu i państwa polskiego. Ich rodziny czekały na to ponad 80 lat. Chcemy ocalić pamięć o każdej z nich, z imienia i nazwiska. Dlatego w Warszawie stanie Mur Pamięci z wiecznym ogniem i nazwiskami każdej odnalezionej i zidentyfikowanej ofiary. Rzeczpospolita nie zapomni o żadnej z nich.

To twarda, oficjalna deklaracja. Tyle że bez ciągu dalszego. Nie wiemy gdzie, kiedy, w jakiej formie Mur Pamięci miałby powstać. Nie wiemy nawet, kto się tym teraz zajmuje. O ile się zajmuje. W efekcie, choć nie upłynął miesiąc od chwili, gdy premier złożył obietnicę, o jego słowach zapomnieliśmy, jakby nigdy nie padły.

Ja się z tym nie zgadzam. Albo jesteśmy dorosłymi ludźmi traktującymi poważnie sprawy poważne, albo istotami o pamięci muszki owocówki. Czy zatem sprawa się rozmyje, jakby tej deklaracji nigdy nie było, czy presja opinii publicznej wymusi realizację obietnicy?

Zdaję sobie sprawę, że łatwo nie będzie. Zaraz wiele osób zadawać będzie pytanie, dlaczego akurat te ofiary spośród setek tysięcy innych mamy przypomnieć. Są na to co najmniej trzy odpowiedzi wskazujące na wyjątkowy charakter sprawy.

Chodzi - jak mówił Tusk - o ofiary kaźni. Po wtóre, zginęli ludzie bezbronni, w tym dużo dzieci. Nie elita, nie bogacze, nie ciemiężcy - większość zamordowanych stanowili chłopi lub schłopiała szlachta. Nikt się o nich długo nie upominał. Nie upominało się o nich też polskie państwo, albo upominało szeptem, nieskutecznie. Mur Pamięci byłby zadośćuczynieniem za trwającą przez dekady bierność i przemilczenie.

KRÓTKO

Ukraina

Rosja może szykować prowokację

Rosja najpewniej zaczęła wykorzystywać przejęte ukraińskie drony do prowokacyjnych ataków, o których uprzedzano wcześniej w Polsce – powiadomił ukraiński portal wojskowy Militarny. Portla powołał się na zdjęcia, wykonane przez ukraiński dron przechwytujący, które opublikował doradca prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego Serhij Beskrestnow o pseudonimie Flash. „Mogę wam z pewnością powiedzieć, że (rosyjski) przeciwnik zbiera nasze ocalałe bezzałogowce, naprawia je i przygotowuje do przyszłych prowokacji" – napisał Flash na Facebooku. Wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz oświadczył 21 lipca, że Federacja Rosyjska przechwyciła ukraińskie drony i może ich użyć jako elementu prowokacyjnego. **PAP**

Warszawa

W tym roku zbiór jabłek i gruszek będzie mniejszy

Łączne zbiory owoców z drzew w 2026 r. wyniosą ok. 3,4 mln ton i będą o 18,6 proc. niższe niż przed rokiem. Spadnie także produkcja owoców jagodowych, z wyjątkiem porzeczek, których zbiory wzrosną o 4,4 proc. rdr – wynika z szacunków GUS. Na wielkość produkcji negatywnie wpłynęły przede wszystkim wiosenne przymrozki, niedobór opadów oraz fale upałów występujące pod koniec czerwca.
Według GUS poprawa warunków pogodowych w lipcu wpłynęła korzystnie na kondycję roślin i przyrost plonów, jednak nie zrekompensowała strat spowodowanych wcześniejszym przebiegiem pogody. W rezultacie tegoroczne zbiory większości gatunków owoców będą niższe niż przed rokiem. **PAP**

eprasa.pl f0a4de73b8

POLITYKA

Grill Morawieckiego. Walka o wyborców właśnie się zaczęła

Mateusz Morawiecki, po tym jak z ponad czterdziestoma politykami wyszedł z Prawa i Sprawiedliwości i założył własny klub parlamentarny, walczy o wyborców. Zaczęło się od przysłowiowego grilla, ale to początek jego drogi, jeżeli chce za niewiele ponad rok wejść ze swoimi ludźmi do Sejmu

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

W piątek odbył się słynny „grill Morawieckiego". PiS ostro skrytykował tę imprezę

Rozłam w PiS stal się faktem i choć stronnicy Jarosława Kaczyńskiego twierdzą, że Mateusz Morawiecki i jego ludzie wciąż należą do partii, ci poszli już własną drogą. Były premier założył nowy klub parlamentarny Rozwój Plus, a w piątek - w dniu ostatniego posiedzenia Sejmu przed wakacjami – rozpalił przysłowiowego grilla, bo tak nazwano konferencję „Rozwój Plus Wy". Ci, którzy tam byli mówią tak: sporo ludzi, atmosfera niby sielankowa, dużo słów, mało konkretów, potworny upał.

- Różne twarze tutaj widzę. Bardzo dziękuję, że jesteście z nami na tym festiwalu idei i pomysłów stowarzyszenia Rozwój Plus. Przede wszystkim są głęboko we mnie dwa podstawowe uczucia: pierwsze to ogromna wdzięczność, że mimo tego skwaru tutaj jesteście. Drugie uczucie to uczucie dumy, bo widzę tutaj ludzi przede mną, którzy są targani niepohamowaną ambicją, która ma popchnąć naszą ojczyznę wysoko i daleko w przód - rozpoczął Morawiecki.

Następnie były premier wskazał, na jakich obszarach skupi się jego stowarzyszenie, gdzie będzie chciało pracować, szukać nowych rozwiązań. Wymienił choćby kwestię rozwiązania kryzysu demograficznego.

- W tych różnych scenariuszach łatwo mogę sobie wyobrazić, że za 25-30 lat, bez odpowiedniego zajęcia się polityką prorodzinną, proludnościową, nasz naród nie tylko może przestać coś znaczyć, ale i wpaść w sidła większych, może przestać istnieć tak naprawdę. Demografia jest naszym najważniejszym wyzwaniem. Nie poddamy się, pomimo różnych słów krytyki, które padają pod naszym adresem - podkreślał Morawiecki.

Nie bez powodu było też o migracji – w ciągu ostatniej doby granicę w Ceucie, hiszpańskiej eksklawie w Afryce Północnej, przekroczyło w sposób niekontrolowany około 49 tys. migrantów.

- Migracja nie jest żadną odpowiedzią na demografię. Migracja jest elementem współczesności, przed którym trzeba się albo skutecznie bronić, albo trzeba z niej korzystać. To, co dzieje się ostatnio w Ceucie, gdzie tysiące migrantów naruszyły Strefę Schengen (...) Nie możemy być poddani presji migracyjnej tylko dlatego, że przynależymy do jakiejś organizacji. Nie ma na to naszej zgody - zaznaczył szef Rozwoju Plus.

Morawiecki mówił też, że Polska „wtedy odnosiła sukces, gdy była odważna" i przekonywał, iż uczestnicy spotkania są ludźmi odważnymi.

– Historia nie nagradza tych, którzy (...) się podporządkowują innym (...) pozwalają się klepać po plecach, a nie próbują znaleźć dobrej ścieżki rozwoju w tym gąszczu, w tej dżungli nowych zasad – dodał.

Na grillu Morawieckiego pojawili się politycy, nie tylko z klubu parlamentarnego Rozwój Plus, była chociażby wyrzucona niedawno z PiS za niepłacenie składek Janina Goss, o której media przez lata pisały, że jest przyjaciółką Kaczyńskiego i szarą eminencją partii, czy niezrzeszony poseł Marcin Józefaciuk. Byli dziennikarze, eksperci, ale też potencjalni wyborcy.

Odbyło się sporo debat i spotkań eksperckich. W debacie „Prawica 2027. Jak wygrać wybory i poszerzyć poparcie?" wzięli udział były poseł Konfederacji, jeden z twórców Ruchu Narodowego - Robert Winnicki i publicysta Bronisław Wildstein, spotkanie „Demografia albo marginalizacja. Jak uratować przyszłość Polski?" prowadził poseł klubu „Rozwój Plus" Szymon Szynkowski vel Sęk, debatę „Rozwój a wykluczenia. Jak idąc do przodu nie zostawić nikogo z tyłu. Lewicowa perspektywa" - posłanka Paulina Matysiak, poseł Marcin Horała i publicysta Marcin Giełzak, o tym, „Czy Rosja zaatakuje Polskę i kraje bałtyckie? Scenariusze eskalacji" rozmawiali były dowódca Eurokorpusu i twórcy 18. Dywizji Zmechanizowanej „Żelaznej" gen. Jarosław Gromadziński i politolog Andrew Michty.

Można było przysłuchiwać się rozmowie posła Janusza Cieszyńskiego ze słynnym szachistą Garrim Kasparowem, czy panelowi „Quo Vadis Polsko?", w którym udział wzięli Mateusz Morawiecki, były szef Sztabu Generalnego WP Rajmund Andrzejczak i były polityk Platformy Obywatelskiej Jan Rokita.

Pomiędzy debatami i dyskusjami na uczestników czekał grill, czy stół do ping-ponga. Dla dzieci postawiono wielką dmuchaną zjeżdżalnię i mały namiocik z animacjami. Można też było uzupełnić domową biblioteczkę i kupić kilka książek.

Polityków Prawa i Sprawiedliwości na grillu jednak nie było.

- Jedni grillują, inni pracują. Mamy plan, mamy strategię, obieramy kurs i idziemy do przodu - przekonywał 30 lipca rzecznik PiS Rafał Bochenek.

Paweł Szrot z PiS stwierdził, że grille urządza sobie prywatnie w gronie rodziny i znajomych.

- Nie jesteśmy zaproszeni tam, a moglibyśmy być i przecież zaśpiewać bardzo dobrze, ale widać, nie oczekiwano nas. Robią sobie grilla, to przecież niech sobie robią – wzruszył ramionami Michał Wójcik i dodał, że „akurat będzie grillował w ogrodzie u siebie".

Marcin Warchoł powtórzył, że „pan premier Mateusz Morawiecki odrzucił rękę wyciągniętą przez pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego".

- Odejście ludzi pana premiera jest działaniem na szkodę Polski, na korzyść Donalda Tuska - powiedział.

Nie mogło być inaczej, na grill Morawieckiego nie było też Jacka Sasina.

- Grill na pewno jest bardzo fajny, ale raczej w wolnym czasie, a nie w czasie, kiedy my wszyscy byliśmy na sali sejmowej - stwierdził.

Dopytywany, czy w takim razie wydarzenie powinno być odwołane lub przełożone na inny termin, ocenił: - Powinno się nie planować chyba po prostu w takim terminie, kiedy wiadomo było z góry, że jest posiedzenie Sejmu i to ważne, bo ostatnie przed przerwą wakacyjną.

Przemysław Czarnek, kandydat PiS na przyszłego premiera, przekazał, że czas wolny będzie spędzał z wnukiem. Na spotkanie u Morawieckiego się nie wybierał.

- Nie dostałem dyspensy, ja jadę na rybkę – rzucił.

Czarnek nawiązał tym zdaniem do komunikatu stowarzyszenia Rozwój Plus, które w przeddzień wydarzenia przekazało na X, że na jego czas „została udzielona dyspensa od obowiązku zachowania wstrzemięźliwości od spożywania pokarmów mięsnych".

- Jesteście strasznie nudni. Od dwóch tygodni mnie pytacie o grilla z Morawieckim, a ja wam od dwóch tygodni mówię, że rodzina na mnie czeka i wy dalej nie wierzycie - zwrócił się do dziennikarzy.

Piknik „Rozwój Plus Wy" to pierwsza inicjatywa Morawieckiego i jego ludzi po tym jak ogłosił powstanie klubu parlamentarnego swojego stowarzyszenia w Sejmie. Kolejne spotkanie – 15 października, w rocznicę ostatnich wyborów parlamentarnych. W nim udział ma wziąć już nie tysiąc, a kilka tysięcy osób, przynajmniej tak zakładają organizatorzy.

Widać wyraźnie, że Morawiecki po największym w historii rozłamie w Prawie i Sprawiedliwości, walczy o wyborców. Dzisiaj sondaże dają stowarzyszeniu Rozwój Plus 6-7 procent poparcia.

Morawiecki wie, że walczą o przetrwanie. Za niewiele ponad rok muszą wystartować w wyborach i dostać się do Sejmu.

Z sondażu SW Research dla rp.pl. wynika, ze gdyby Mateusz Morawiecki powołał nową partię, to zdaniem 37,8 proc. Polaków miałaby taką szansę, dokładnie 10 procent badanych jest innego zdania.

Pytanie, czy Morawiecki pójdzie do wyborów sam, czy będzie szukał koalicjanta. Na razie bowiem nic nie wskazuje na to, aby przed wyborami miał połączyć siły z Prawem i Sprawiedliwością.

eprasa.pl f0a4de73b8

STOPKLATKA

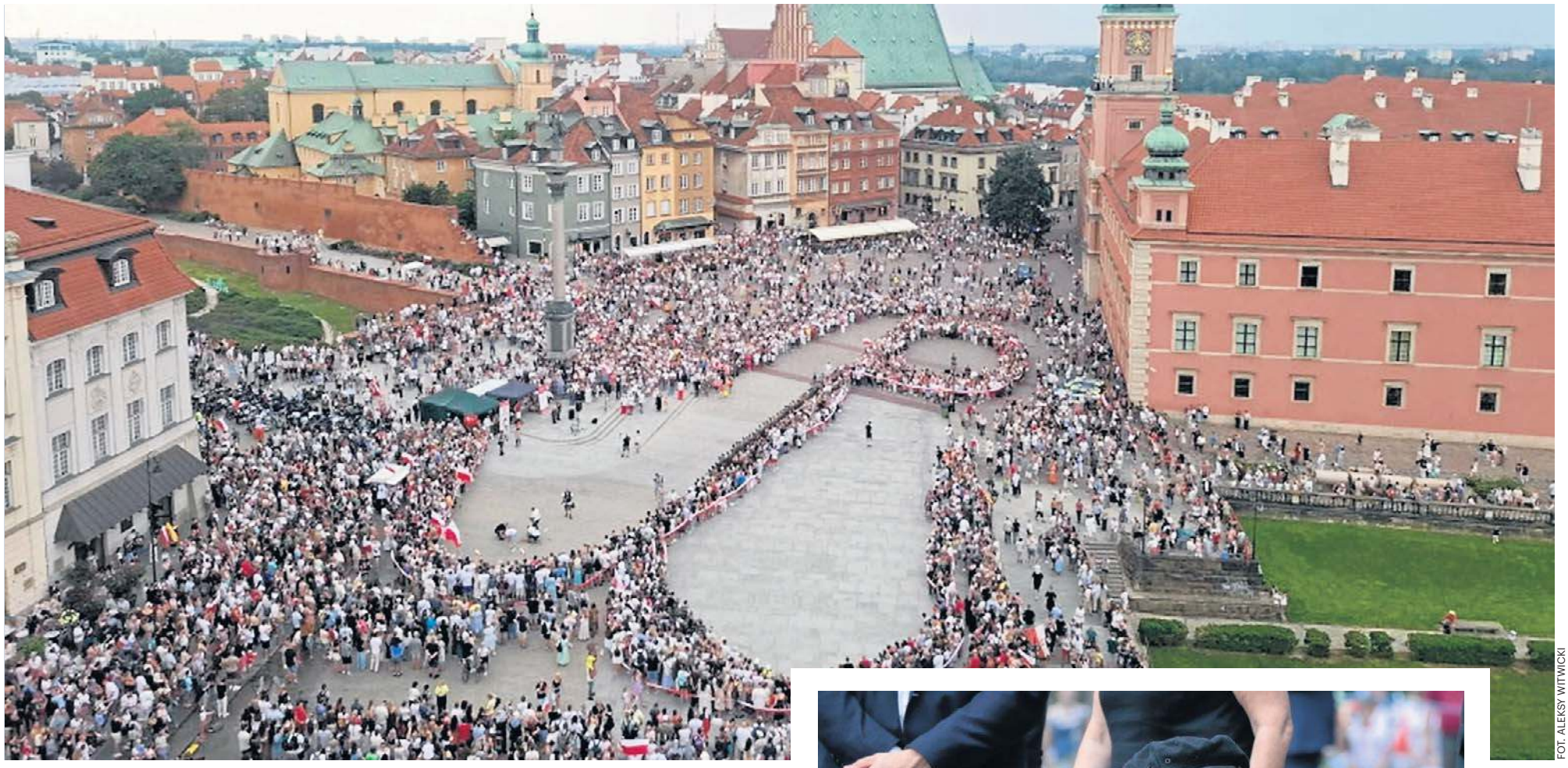

FOT. ALEKSY WITWICKI

↑

W sobotę o 17, w godzinie „W" na minutę zatrzymały się pojazdy komunikacji miejskiej: autobusy, tramwaje, metro. Na ulicach stanęli przechodnie, zatrzymywały się prywatne samochody, z których wysiadali kierowcy. Na Placu Zamkowym mieszkańcy utworzyli ogromny znak Polski Walczącej.



FOT. ADAM JANKOWSKI

↑

Przed pomnikiem Gloria Victis na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w godzinę „W" przedstawiciele władz, w tym prezydent Karol Nawrocki i marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska oraz weterani i mieszkańcy miasta oddali hołd powstańcom warszawskim. Kilkoro z nich, mimo zaawansowanego wieku, wzięło udział w uroczystości.

→

W przeddzień 82. rocznicy powstania na Placu Krasińskich oddano cześć poległym i pomordowanym Po mszy św. w intencji ojczyzny, powstańców warszawskich i mieszkańców stolicy odbył się Apel Pamięci z udziałem najwyższych władz państwowych oraz przedstawicieli korpusu dyplomatycznego.



FOT. ADAM JANKOWSKI



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

←

Zgodnie z tradycją, 1 sierpnia wieczorem na placu Piłsudskiego zebrał się tłum Polaków, którzy zaśpiewali (nie)zakazane piosenki przy akompaniamencie profesjonalnej orkiestry i chóru Warszawiaków pod dyrekcją Bartłomieja Wąsika.

eprasa.pl f0a4de73b8

CEUTA

Atak migrantów na hiszpańską Ceutę. Europa z przerażeniem patrzy na kryzys

Dramatyczne wydarzenia w afrykańskiej eksklawie Hiszpanii, gdzie wdarło się kilkadziesiąt tysięcy migrantów z Maroka, wywołało pytania w całej Europie o to, jak ochronić granice przed napływem uciekinierów

Kazimierz Sikorski



FOT. JORGE GUERRERO/AFP/EAST NEWS

Według hiszpańskich władz większość migrantów została cofnięta do Maroka

Kryzys w Ceucie wybuchł, gdy w czwartek i piątek kilkadziesiąt tysięcy nielegalnych imigrantów przedarło się z Maroka do hiszpańskiej eksklawy, zamieszkanej przez 83 tys. osób. W piątek wieczorem hiszpańskie MSW poinformowało, że zdecydowania większość migrantów wróciła już do Maroka.

W sieci pojawiły się dramatyczne nagrania z Ceuty. Burmistrz miasta Juan Jesús Vivas, szacuje, że w ciągu ostatnich dwóch dni 60 tysięcy migrantów z Maroka przedostało się do tej hiszpańskiej enklawy w Afryce Północnej.

Wiele osób zatonęło, wielu zadeptano

Tragiczny bilans wydarzeń obejmuje co najmniej 67 ofiar śmiertelnych; wiele osób utonęło, a inne zginęły w tłoku przy ogrodzeniu fa-lochronu na plaży Tarajal, w pobliżu hiszpańsko-marokańskiego przejścia granicznego.

Achid Sbihi, dowódca hiszpańskiej Gwardii Cywilnej w Ceucie: „Sytuacja jest absolutnym chaosem" . Dodał, że granica całkowicie się zawaliła" i wyraził obawy o poważny kryzys humanitarny.

Jeden z filmów pokazuje wzburzonych mieszkańców krzyczących z dachu budynku na migrantów przekraczających granicę.

Tysiące osób śpi na chodnikach i bez celu błąka się po ulicach, niektórzy z nich to nieletni bez opieki.

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez potwierdził, że federalne środki są mobilizowane w celu rozwiązania kryzysu. Strategia zakłada rozmieszczenie jednostek, która by zawróciły migrantów z Ceuty do Maroka. Około 25 000 migrantów rozpoczęło już podróż powrotną.

Europa boi się kryzysu

Przywódcy Zachodu zaczęli potępiać falę migrantów. Portugalia wzmacnia granice, podobnie robią Włosi. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen oświadczyła, że sytuacja jest „niedopuszczalna".

„Nie możemy pozwolić nikomu na przyjazd do naszej [Europejskiej] Unii bez przestrzegania naszych zasad" – napisała. „Niebezpieczne przejścia graniczne muszą zostać natychmiast przerwane. Siatki przemytnicze muszą zostać rozbite. A powroty [migrantów] muszą być szybkie, zgodnie z naszymi przepisami".

Premier Hiszpanii Pedro Sanchez w wysłanym w sobotę liście do unijnych przywódców skrytykował państwa, które - zamiast zaoferować wsparcie - domagały się w związku z kryzysem migracyjnym w Ceucie ograniczenia udziału Hiszpanii w strefie Schengen.

Jak podkreślił, reakcja części państw członkowskich na wydarzenia w Ceucie była „samolubna, polaryzująca i niezgodna z prawem". Według hiszpańskiego premiera w ciągu niespełna 48 godzin hiszpańskie władze przywróciły pełną kontrolę nad granicą, udzieliły pomocy humanitarnej, zawróciły niemal wszystkich migrantów, którzy przekroczyli granicę nielegalnie, oraz zapobiegły ich dalszemu przemieszczaniu się do Europy kontynentalnej.

Sanchez zaznaczył, że działania te zostały przeprowadzone we współpracy z władzami Maroka i przy „bardzo ograniczonym wsparciu" ze strony innych państw UE. Przypomniał jednocześnie, że Hiszpania okazywała solidarność partnerom w czasie wcześniejszych kryzysów migracyjnych, przyjmując migrantów m.in. po kryzysie na granicy z Białorusią w 2021 r. oraz po napływie migrantów na włoską wyspę Lampedusa w 2023 r.

Premier napisał, że większość państw członkowskich wyraziła poparcie dla Hiszpanii i zaoferowała pomoc, jednak część rządów zdecydowała się zaatakować Madryt i domagać się czasowego wykluczenia Hiszpanii ze strefy Schengen. Nie wymienił tych państw z nazwy, ale z kontekstu wynikało, że chodzi przede wszystkim o Włochy.

Sanchez odrzucił argumenty krytyków, podkreślając, że Ceuta nie należy do strefy Schengen, niemal wszyscy migranci zostali już zawróceni, a Hiszpania – według danych Frontexu – należy do państw najlepiej chroniących zewnętrzną granicę UE.

We wpisie na X Sanchez zauważył, że „solidarność i empatia są kwestią wyboru, ale poszanowanie traktatów europejskich i danych - nie". Przytoczył też statystyki Frontexu, zgodnie z którymi w latach 2021–2026 na zachodnim szlaku prowadzącym do Hiszpanii odnotowano około 235 tys. nielegalnych przekroczeń granicy, w porównaniu np. z 479 tys. na szlaku prowadzącym do Włoch. PAP

REKLAMA 0011547864



eprasa.pl f0a4de73b8

WSPOMNIENIE

Grzegorz Micuła: Olgierd Budrewicz nie mówił, jaki był dzielny

– Odwiedził ponad 160 krajów, ale Powstanie Warszawskie było z nim wszędzie. W zniszczonym trzęsieniem ziemi Peru widział zrujnowaną Warszawę. Strzał usłyszany podczas nocnej wyprawy w Kongu przywołał obrazy z 1944 roku. O Olgierdzie Budrewiczu, powstańcu warszawskim, który nigdy nie budował własnej legendy, opowiada dziennikarz Grzegorz Micuła

Anita Czupryn

Jak pamiętasz pierwsze spotkanie z Olgierdem Budrewiczem? Co wtedy o nim wiedziałeś?

Doskonale wiedziałem, kim jest. Byłem dziennikarzem zajmującym się podróżami i turystyką. W naszym środowisku Olgierd Budrewicz był absolutną legendą. Urodziłem się w 1950 roku i pamiętam jego teksty publikowane w połowie lat 60. w „Przekroju". Był to wówczas najpopularniejszy tygodnik ilustrowany w Polsce, a Budrewicz pisał w nim o świecie, którego w Polsce prawie nikt nie znał, bo mało kto mógł wyjeżdżać. Osobiście poznałem go, kiedy pracowałem w magazynie „Poznaj Świat". W 1994 roku powstała tam Rada Turystyki, której społecznym przewodniczącym został Olgierd Budrewicz, a mnie przydzielono do współpracy z nim. Tak się zaczęło. Oczywiście onieśmielał nas. Był naszym guru. Najpierw pracował w „Przekroju", później w „Perspektywach", współpracował między innymi ze „Stolicą" i z „Wprost". Pisał też wspaniałe reportaże ze świata i ciekawe książki, które rozchodziły się w wielotysięcznych nakładach. W sumie napisał ponad sto książek! Znałem jego twórczość, wiedziałem, jak ważną jest postacią, dlatego możliwość pracy u jego boku była dla mnie czymś niezwykłym.

Kiedy przestał być dla ciebie legendą, a stał się człowiekiem z krwi i kości?

Zaczęliśmy razem wyjeżdżać, głównie na zagraniczne wyjazdy prasowe. Byliśmy kilkakrotnie w Hiszpanii, między innymi na Wyspach Kanaryjskich, ale także na Litwie i w Monachium. Jestem mu szczególnie wdzięczny za Indonezję. Sam miał tam pojechać, lecz z jakichś powodów nie mógł i odstąpił mi ten wyjazd. Znalazłem się więc w Indonezji dzięki niemu i odwiedziłem Jawę, Bali i Sulawezi z niesamowitym krajem Toradżów. Podczas naszych podróży miałem możliwość poznać go bliżej. Był niezwykle kulturalny, miał w sobie coś z przedwojennego dżentelmena. A przy tym imponował wiedzą i przygotowaniem. Odwiedził ponad 160 krajów i naprawdę wiedział, o czym mówi. Przed każdym wyjazdem dużo czytał. Pamiętam zabawną historię z Wysp Kanaryjskich. Olgierd znalazł w przewodniku opis podobno bardzo ciekawego miasteczka i zaproponował, żebyśmy je zobaczyli. Hiszpańscy gospodarze zgodzili się bez problemu, chociaż pewnie się dziwili. Pojechaliśmy więc tam całą naszą dziennikarską grupą. Na miejscu zastaliśmy brudną plażę, betonowe budynki i właściwie nic więcej. Olgierd był autentycznie zakłopotany i wszystkich przepraszał, bo przeczytał w jakimś przewodniku, że warto tam przyjechać. To również wiele o nim mówi: mimo ogromnego doświadczenia wciąż pozostawał otwarty na nowe miejsca, a kiedy się pomylił, potrafił to zwyczajnie przyznać.

Wiedziałeś, że ten elegancki, pogodny człowiek walczył w Powstaniu Warszawskim.

Wiedziałem, ale Olgierd nigdy tym nie epatował. Nie opowiadał, jaki był dzielny, nie budował wokół siebie powstańczej legendy. O tamtym czasie mówił niewiele, właściwie prawie wcale.Dopiero, gdy już po jego śmierci pracowaliśmy nad filmem dokumentalnym „Olgierd Budrewicz. Byłem wszędzie" i zbieraliśmy materiały do filmu i książki wspomnieniowej, a ja również do biografii, rozmawiałem z jego kolegami z AK, czytałem relacje i dowiadywałem się coraz więcej. Zrozumiałem wtedy, jak piękną miał kartę powstańczą i jak mało o niej mówił.

Ale opowiedział ci jednak jakąś historię z Powstania?

Zapamiętałem jedną. Po kapitulacji Żoliborza nie poszedł do niewoli z żołnierzami, lecz zgodnie z rozkazem dowództwa zdjął wojskowe insygnia i wyszedł z miasta z ludnością cywilną. Ponieważ był związany z redakcją powstańczego „Dziennika Radiowego 22. Obwodu AK", obawiano się, że ktoś może go rozpoznać i wskazać Niemcom jako człowieka odpowiedzialnego za propagandę. Szedł z matką przez Wolę w stronę Dworca Zachodniego. Przed kościołem św. Wojciecha stał Heinz Reinefarth, jeden z głównych niemieckich zbrodniarzy odpowiedzialnych za rzeź Woli. Niemcy wyławiali z tłumu młodych mężczyzn i rozstrzeliwali ich na miejscu za kościołem. Olgierd miał wtedy 21 lat, jednak go nie zatrzymali. Mówił o tym jako o jednym z najstraszniejszych momentów swojego życia. Z Dworca Zachodniego trafił do obozu przejściowego w Pruszkowie. Tam spotkał kolegów z AK, którzy pracowali jako sanitariusze. Obandażowali mu ręce, nogi i głowę, upozorowali ciężkie rany, a następnie wywieźli z obozu na chłopskim wozie. Później ukrywał się u znajomych, trafił do Żyrardowa. Mam list kobiety, która udzieliła mu schronienia oraz kartkę pocztową świadczącą o tym, że jeszcze przed końcem wojny znalazł się w Krakowie. W jego historii wciąż odkrywam rzeczy, które mnie zaskakują.

Jaka była jego droga powstańcza, zanim otrzymał rozkaz opuszczenia miasta?

Walczył na Żoliborzu. Był dowódcą plutonu w Zgrupowaniu „Żmija" Obwodu „Żywiciel". Najpierw był w punkcie oporu w bloku spółdzielni „Feniks" przy placu Wilsona, później służył w Szklanym Domu przy ulicy Mickiewicza 34/36. Brał udział w patrolach na Marymoncie, który był wtedy ziemią niczyją. Dzielnica była częściowo zabudowana drewnianymi domkami i miała zupełnie inny charakter niż inteligencki Żoliborz. Po miesiącu walk przeszedł do redakcji „Dziennika Radiowego 22. Obwodu AK". Zaczęto go drukować 2 września dzięki maszynie drukarskiej znalezionej w skrytce pod budką z wodą sodową przy ulicy Tucholskiej. Dowódca powstania na Żoliborzu, pułkownik Mieczysław Niedzielski „Żywiciel" zdecydował, że skoro jest maszyna, trzeba wydawać gazetę. Olgierd chodził po barykadach i piwnicach, rozmawiał z mieszkańcami, pisał o braku wody, kradzieżach, codziennych problemach. W samym środku Powstania wykonywał normalną dziennikarską robotę. Gazeta ukazywała się do 29 września. Właśnie dlatego dowództwo nakazało mu wyjść z cywilami. Ludzie na Żoliborzu znali go jako dziennikarza powstańczego pisma. Gdyby ktoś go wskazał, Niemcy najpewniej by go zabili.

Mówił, że jego pokolenie chciało tej walki, ale „refleksja przyszła później". Jak rozumiałeś te słowa?

Wydaje mi się, że z czasem zaczął zadawać sobie pytanie, czy Powstanie rzeczywiście było niezbędne i czy cena nie okazała się zbyt wysoka. Tak odczytywałem jego wypowiedzi i nasze rozmowy. Nie potrafię jednak powiedzieć, jak daleko szła ta refleksja, bo nie mówił o niej wprost.

Wspominał ludzi, których wtedy stracił?

Nie powiedział mi nigdy: „Tego człowieka najbardziej mi brakuje". Znałem jednak osoby, z którymi był związany przez wspólną powstańczą przeszłość i o których opowiadał. Jedną z nich był Wacław Gluth-Nowowiejski „Wacek", żołnierz z jego plutonu w Zgrupowaniu „Żmija", późniejszy dziennikarz i varsavianista, nazywany ostatnim Robinsonem warszawskim. Został ciężko ranny na Marymoncie, ukrywał się w piwnicy jakiegoś domu. Niemcy, którzy do niej zajrzeli, wycofali się z powodu ciemności i odoru rozkładającej się rany. Odnalazła go i uratowała przypadkowa kobieta. Olgierd przywoływał jego losy w swoich tekstach. Bliski był mu również Juliusz Kulesza, młodszy od Olgierda o pięć lat powstaniec i autor książek poświęconych wojennej Warszawie. Napisał też między innymi „Zakazane gole. Futbol w okupowanej Warszawie", książkę zadedykowaną Budrewiczowi. Olgierd był przed wojną i podczas okupacji zapalonym sportowcem: uprawiał gimnastykę, żeglarstwo, jeździł na nartach, grał w tenisa, pływał i oczywiście grał w piłkę nożną. Podczas okupacji na Żoliborzu założył drużynę Promyk, był także kapitanem reprezentacji Żoliborza. A trzeba pamiętać, że Niemcy zabraniali Polakom uprawiania sportu; groził za to obóz a czasem nawet śmierć.

Jak Budrewicz obchodził 1 sierpnia?

Spotykał się ze swoim środowiskiem, z żołnierzami Obwodu „Żywiciel". Był z nimi związany do końca. Z każdym rokiem powstańców ubywało, ale on zawsze był obecny. To nie miało w jego wydaniu charakteru manifestacji. Było raczej trwaniem przy ludziach, z którymi łączyło go doświadczenie nieporównywalne z niczym innym.

Czy dostrzegałeś, co wojna w nim pozostawiła?

Na pewno pozostawiła bardzo głębokie ślady. Opowiadał, że gdy wybuchło Powstanie, wszyscy byli w euforii. Mieli dosyć straszliwej okupacji, widzieli wycofujących się Niemców, na ulicach pojawiły się polskie flagi. Cieszyli się, że wreszcie mogą walczyć. Nie wiedzieli jednak, że będzie to wojna tak barbarzyńska. Wiele lat później, podczas podróży po Peru, znalazł się w mieście Huaraz zniszczonym przez potężne trzęsienie ziemi. Chodził po gruzach sięgających pierwszego piętra i wszędzie widział popowstaniową Warszawę. Podobnie było w Kongu. W „Równoleżniku zero", jednej ze swoich najważniejszych książek reporterskich, opisał nocną wyprawę ze Staszkiem Hemlem, Polakiem, myśliwym polującym na krokodyle. W świetle latarki nad wodą pojawiały się czerwone punkty. To były oczy tych zwierząt. Myśliwy wymierzył i strzelił. W chwili, gdy Olgierd usłyszał huk, stanęły mu

eprasa.pl f0a4de73b8

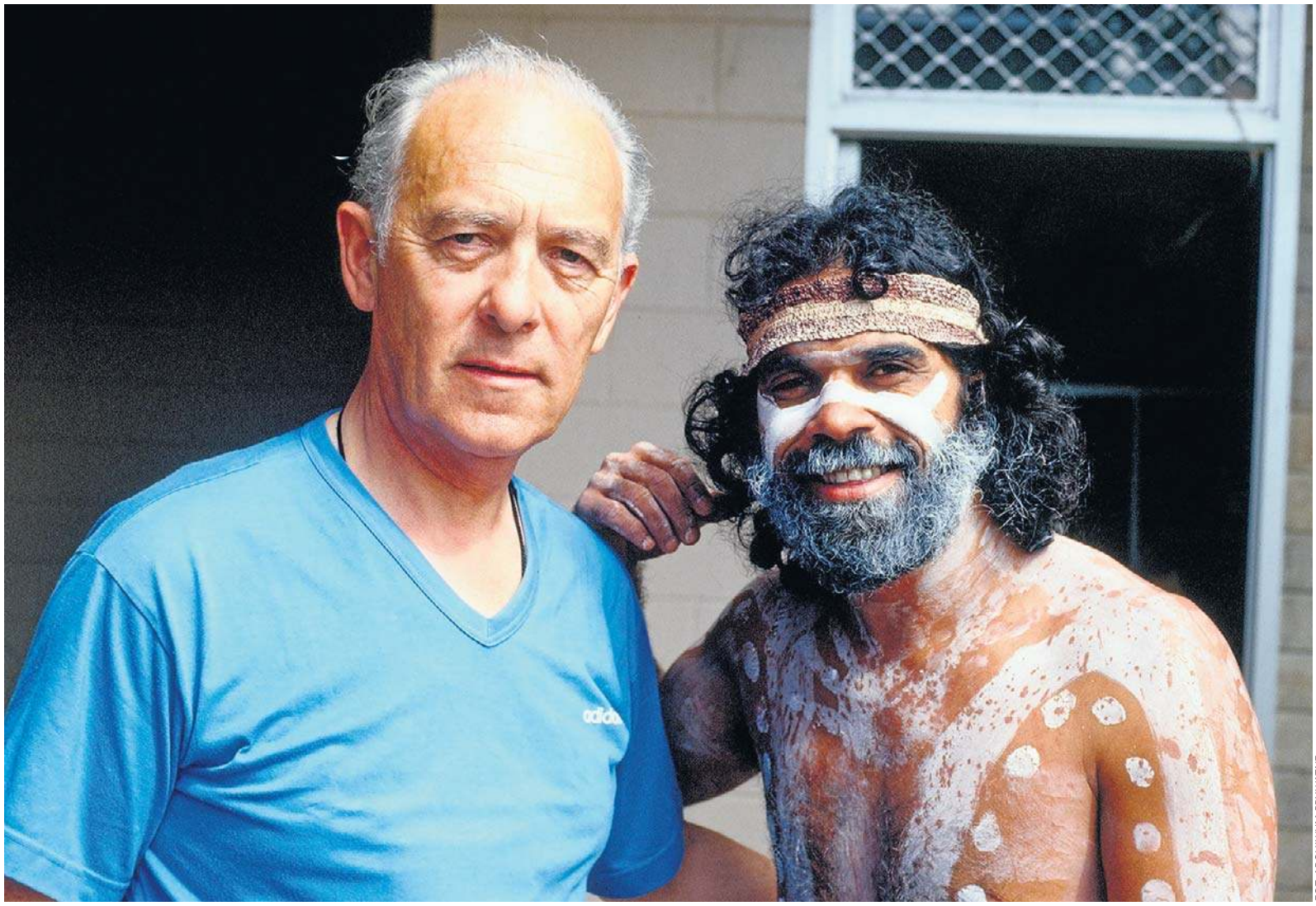

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Olgierd Budrewicz podczas jednej ze swych podróży

przed oczami sceny z Powstania. Nosił je w sobie, dokądkolwiek pojechał.

Jak z człowieka, do którego zwracałeś się „panie Olgierdzie", stałeś się jego przyjacielem?

Zawsze odnosiliśmy się do niego z ogromnym respektem. Był dżentelmenem w przedwojennym stylu, naszym mistrzem. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby zaproponować mu przejście na „Ty". To on, kiedy już dobrze się poznaliśmy, zaproponował taką formułę niektórym z nas. Okazał się niezwykle ciepłym, życzliwym ludziom człowiekiem. Pomagałem mu czasem w sprawach komputerowych, on podsuwał mi teksty i pomysły. Po prostu zaczęliśmy się przyjaźnić. Od połowy lat 90. przez 17 lat, aż do jego śmierci, często bywałem w jego domu na Żoliborzu. Czasem wspólnie podróżowaliśmy, byliśmy między innymi kilka razy na wyjazdach prasowych w Hiszpanii i na Kaziukach w Wilnie czy w Maroku, wielokrotnie rozmawialiśmy. Kiedy zmarł 20 listopada 2011 roku, wracałem właśnie z Królewca. Staliśmy na granicy, kontrolowani przez Rosjan, gdy zadzwonił telefon. To była Ewa, córka Olgierda. Powiedziała: „Tata nie żyje". W tym roku minie 15 lat od tamtej chwili.

W Twoje ręce trafiło jego archiwum. Jak to się stało?

Po śmierci Olgierda wiedziałem, że trzeba go upamiętnić. Pamięć jest ulotna, wtedy na topie był Kapuściński, podczas gdy Budrewicz zaczynał znikać ze świadomości czytelników. Zrobiliśmy o nim film dokumentalny, później wydaliśmy książkę wspomnieniową, a ja zacząłem myśleć o biografii Olgierda. Od jego córki Ewy otrzymałem część dokumentów: osobiste listy, notatki, kartki pocztowe, materiały, które miały mi pomóc w odtworzeniu jego życia. Maszyna do pisania, biurko i inne przedmioty trafiły do Muzeum Podróżników im. Tony'ego Halika w Toruniu. Znaczną część archiwum przekazano Bibliotece Narodowej, a fotografie z okresu wojny i pierwszych lat powojennych poszły do Muzeum Powstania Warszawskiego. Ja zostałem opiekunem najbardziej osobistej części zbioru. Próbowałem na podstawie tych materiałów odtworzyć wszystkie jego podróże, ale szybko się okazało, że to mission impossible. Jeżeli jednak np. kartka pocztowa czy list została wysłana 3 stycznia 1965 roku z San Francisco, wiem, że tego dnia tam był. A jeśli dopisał: „Pojutrze lecę do Vancouver", zyskuję kolejny punkt na mapie. Z takich drobnych śladów próbuję składać jego życie.

Dlaczego Twoim zdaniem powinna powstać biografia Budrewicza?

To pytanie nurtuje mnie od lat. Olgierd był świetnym reporterem, varsavianistą, doskonale znał Warszawę, napisał o niej ponad 20 książek w tym kultowy, wielokrotnie wydawany „Bedeker warszawski". Swoimi reportażami, książkami i występami w telewizji pokazywał Polakom niedostępny wówczas świat. Pamiętam teksty Olgierda z lat 60. i 70., czy późniejszych, natomiast młodsi ludzie rzadko kojarzą jego nazwisko, a najczęściej nie znają go wcale. A przecież był niesłychanie ciekawą, niebanalną postacią. Przez dziesięciolecia przybliżał Polakom świat, do którego sami nie mogli pojechać. Podróżowali wtedy dyplomaci, handlowcy, czasem dziennikarze. Olgierd miał rodzinę ze strony matki w Niemczech, brata w Brazylii i krewnych w Stanach Zjednoczonych. Zaczął też pisać o Polonii, odkrywał dla kraju ważnych i ciekawych emigrantów z Polski. Kiedy przyjeżdżał po raz kolejny, ludzie już go znali, przekazywali sobie wiadomość o nim, pomagali mu dotrzeć do następnych bohaterów. Docierał do niezwykłych ludzi. Odnalazł między innymi dwóch Polaków związanych z amerykańskim programem kosmicznym Apollo i spotkał się z każdym z nich. Jeden z towarzyszy jego podróży, telewizyjny operator Adam Pietrzyk wspominał później, że historie które wtedy usłyszał, były tak niewiarygodne, że głowa puchła. Taki był Budrewicz. Docierał tam, gdzie inni nie potrafili. Był jednym z najpopularniejszych polskich reporterów. Jego przyjaciel Wiesław Ochman wspominał, że kiedy do krakowskiego akademika AGH trafiał nowy egzemplarz „Przekroju", czytali go kolejno wszyscy mieszkańcy. Każdy wiedział, kim jest Budrewicz. Występował w telewizyjnym „Klubie Sześciu Kontynentów" i „Kawiarence pod Globusem" w czasach, gdy programy podróżnicze były rzadkością. Dziś pamięta go coraz mniej osób. Zrobiliśmy o nim film i książkę wspomnieniową, ale jego biografia wciąż czeka na napisanie. Chciałbym ją ukończyć, żeby trafiła do bibliotek i żeby coś po nim zostało.

Jest coś, o co nie zdążyłeś go zapytać?

Na pewno zapytałbym go o Powstanie. Za jego życia nie drążyłem tego tematu, bo on sam go nie podejmował. Był dla mnie ważnym człowiekiem i przyjacielem. Dopiero po jego śmierci zacząłem odkrywać kolejne, niekiedy zagadkowe fragmenty życiorysu. Chciałbym dokładniej porozmawiać z nim choćby o konspiracyjnych podchorążówkach. Z rozmowy z Witoldem Kieżunem zapamiętałem, że zanim Budrewicz ukończył podchorążówkę AK, miał przejść podobne szkolenie w strukturach związanych z obozem narodowym, którego później mu nie uznano. Ta historia wymaga jeszcze dokładnego zbadania. Fascynują mnie również jego okupacyjne fotografie, zwłaszcza zdjęcia z tajnej podchorążówki. Matka Olgierda, Emilia z domu von Eller, pochodziła z niemieckiej rodziny. W okupowanej Warszawie, pośród gestapowskiego terroru, jej syn działał w polskiej konspiracji, a koledzy ufali mu na tyle, że pozwalali się fotografować podczas tajnych ćwiczeń. To świadczy o tym, jak dobrze go znali i jak bardzo mu ufali.

Zdarza ci się jeszcze pomyśleć: „Muszę o tym powiedzieć Olgierdowi"?

Zdarza się. Nawet niedawno tak pomyślałem. Olgierd przez całe życie pisał o Warszawie. Zaczął, gdy była kompletnie zrujnowana, a później obserwował i opisywał każdą kolejną zmianę. Miał bardzo zdecydowany stosunek do Pałacu Kultury: uważał, że należy go zburzyć i nie ma o czym dyskutować.

Jaką Warszawę widział pod koniec życia?

Mówił, że Warszawę kocha, ale czasem jej nie lubi. Pamiętał miasto sprzed wojny. Rozumiał oczywiście, że tamta Warszawa została zburzona, jej mieszkańców wymordowano albo wysiedlono i że na ich miejsce musieli przyjść inni ludzie. Ale to nie było już miasto, które nosił w pamięci. Ja sam mieszkam dziś poza Warszawą. Kiedy do niej przyjeżdżam i widzę, jak się zmienia, że znowu coś wybudowano, myślę czasem: Olgierd by już chyba tej Warszawy nie poznał.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Grzegorz Micuła

Dziennikarz, fotograf, podróżnik, krajoznawca. Autor książek i przewodników turystycznych. Po śmierci Olgierda Budrewicza zajął się porządkowaniem spuścizny pisarza i publikowaniem wspomnień.

eprasa.pl f0a4de73b8

ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Relikwie powstańców warszawskich ze Stalagu Lamsdorf. Trafiło ich tu sześć tysięcy, w tym kobiety i nieletni

Numerowany kawałek blachy z przynitowanymi rzemykami i klamerką kojarzy się z wszystkim, tylko nie z damską biżuterią. Był nią jednak w Stalagu 344 Lamsdorf. W miejscu, do którego w październiku 1944 roku trafili żołnierze z powstania warszawskiego

KS

Radziecki jeniec przerobił tam na damską bransoletkę obozowy nieśmiertelnik numer 106811, należący do Zofii Arcimowicz - sanitariuszki AK o pseudonimie „Zula".

- Mama i jej koleżanki z powstania porozumiewały się z Rosjanami przez druty - opowiada Andrzej Arcimowicz, który w czerwcu tego roku przekazał niezwykłą pamiątkę po matce do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach. - Któregoś dnia zdjęła nieśmiertelnik i przerzuciła na tamtą stronę. Podobnie zrobiło kilka innych dziewcząt. Nieśmiertelniki wracały tą samą drogą, tak właśnie przerobione.

- Ta bransoletka zaskoczyła nas całkowicie, nigdy dotąd, w żadnym muzeum, nie spotkałam czegoś podobnego - mówi dr Violetta Rezler-Wasielewska, dyrektorka CMJW. - Jeniec, który to zrobił, musiał pracować w warsztacie, miał dostęp do materiałów i narzędzi. Należał do tych, którzy obsługiwali obóz.

Rosjanie wykonywali tu najcięższe prace, od czyszczenia latryn począwszy. To trochę przedłużało życie wybranych, ale takich było niewielu. Do obozu zwożono Rosjan po to, by tu umierali.

W Stalagu Lamsdorf nieśmiertelniki były obowiązkowe. Jeńcy nosili je na różne sposoby. Dla młodych żołnierek z Warszawy, jak się okazało, były też ozdobą, namiastką prawdziwej biżuterii, o której w niewoli mogły tylko pomarzyć. - W ten sposób mogły też zagrać na nosie obozowym władzom - przypuszcza dyr. Rezler-Wasielewska.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Powstańcy Warszawscy wychodzą ze stolicy po kapitulacji. Jedna trzecia z nich trafiła do Łambinowic.

Łączniczka „Zula" doczekała wyzwolenia. Uciekła do Polski z transportu, którym Amerykanie wywozili jeńców do Londynu. Przez Kłodzko dostała się do kraju. Na granicy, w obozowych papierach - a innych przecież nie miała - wpisano jej: „AK - zapluty karzeł reakcji". Przez wiele lat nie mogła znaleźć pracy.

Bransoletkę ze stalagu do końca życia pielęgnowała jak relikwię. Zmarła w 2000 roku. - Mama była dumna z tego, że walczyła w powstaniu, nigdy na nic się nie skarżyła - wspomina Andrzej Arcimowicz.

Poczta nad drutami

Przerzucane ponad obozowymi drutami nieśmiertelniki to rzeczywiście rzadkość. Tą drogą wędrowały przede wszystkim listy. Do stalagu nierzadko trafiały całe powstańcze rodziny czy pary narzeczonych.

Rozdzieleni w obozie ludzie szukali kontaktu, wieści o bliskich, znajomych. W zbiorach łambinowickiego muzeum są listy do sanitariuszki Alicji Wojciechowskiej, ps. „Jaga Koziniec", z 44. Kompanii Ochrony Powstania. Na maleńkich kartkach z notesu, drobniutkim pismem pisali do niej przez druty, z męskiego obozu, narzeczony Feliks Tuszyn Tuszyński, żołnierz kompanii motorowej batalionu Kiliński, ps. „Feliks Dwa", i brat Janusz.

„Serdecznie dziękuję za prezent w postaci paska" - czytamy w liście od „Feliksa" - „Ostrzegam cię jednak, byś nie była zbyt dobroduszna i nie szafowała prezentami na prawo i lewo, gdyż zostałabyś w niedługim czasie w stroju Ewy. W obozie trzeba się usamodzielnić". A brat podawał jej w „przerzucanym pocztą" liściku adres kuzyna w Częstochowie, gdzie będą mogli się odnaleźć po wojnie, i pytał z niepokojem: „Co słychać u was? Co mają zamiar z wami zrobić?".

- Ta poczta funkcjonowała świetnie - wspomina pani Alicja. - Gdy znaleziono kamień owinięty w papier, przekazywano go sobie z rak do rąk tak długo, aż trafił do adresata. „Jaga Koziniec" i „Felkis Dwa" pobrali się już po wojnie, w lipcu 1945 roku, w Murnau w Niemczech. 88-letnia dziś pani Alicja Tuszyn Tuszyńska mieszka w Warszawie. - Gdybym znów miała 21 lat, gdyby to wszystko miało się powtórzyć, poszłabym znów do powstania - mówi bez wahania.

AKCJA CHARYTATYWNA 0011544302



eprasa.pl f0a4de73b8



FOT. KRZYSZTOF ŚWIDERSKI

Ta branzoletka z obozowego nieśmiertelnika należała do Zofii Arcimowicz.

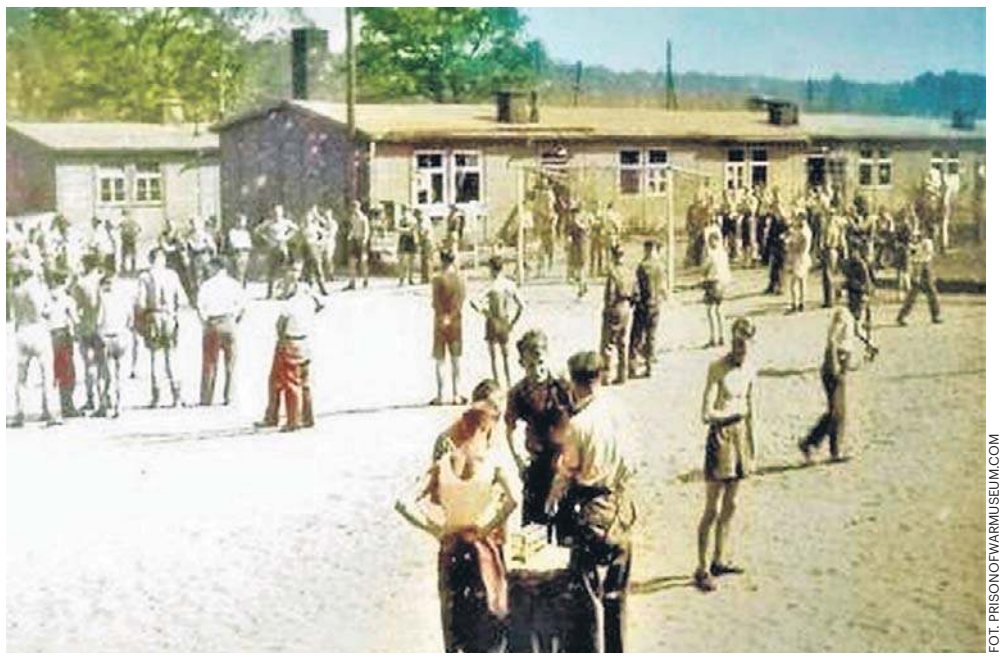

FOT. PRISONOFWARMUSEUM.COM

Obóz jeniecki w Łambinowicach latem 1944 r.

Wywiezionych do stalagu powstańców dręczył niepokój i strach o przyszłość. By odsunąć czarne myśli i wypełnić czymś obozową nudę, komisje oświatowe organizowały im przeróżne zajęcia. W Łambinowicach popularna była metaloplastyka.

Wisła z dopływami

Odznaki, emblematy, symbole Polski Walczącej, ryngrafy z Matką Boską lub warszawską Syrenką czy zwyczajne damskie bibeloty wycinano z puszek po konserwach. Szczególnie chętnie - z opakowań kanadyjskiego masła, przesyłanego do obozu przez Czerwony Krzyż. Lakierowane były na czerwono i miały stosunkowo mało napisów.

Przed laty do zbiorów Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych trafiło kilkanaście takich pamiątek, zrobionych przez Lidię Tazbir, pseudonim „Wisła", i jej trzy córki. Wszystkie były w konspiracji i powstaniu. W stalagu mówiono o nich żartobliwie „Wisła z dopływami". - „Wisła", to ciotka mojego męża Janusza - wyjaśnia Julia Tazbir, żona znanego profesora historii. - A „dopływy" to jej córki: Wanda, Bożena i Lesława. Lidia urodziła się jeszcze w 1888 roku, choć nigdy się do tego nie przyznała.

W czasie I wojny światowej była w Polskiej Organizacji Wojskowej, w wojnie polsko-sowieckiej udzielała się w samoobronie na Lubelszczyźnie. A Wanda jeszcze przed wojną była harcerką i instruktorką „Nieprzetartego Szlaku" i nabyte w obozie umiejętności wykorzystywała po wojnie w pracy z podopiecznymi. Wszystkie niestety już nie żyją - dodaje pani Julia Tazbir.

W październiku 1944 roku kilkunastoletniemu Zbigniewowi Śliwowskiemu, ps. „Hobo", dowódcy drużyny w oddziale harcerskim „Żbik", przełożeni kazali w ramach zajęć obozowych robić ozdoby choinkowe. - Czy to znaczy, że będziemy tu siedzieć do Bożego Narodzenia? - pytał z rozgoryczeniem młody żołnierz.

Na ściankach lampionu, jaki wykleił w końcu z papieru i bibułki widniały kotwica Polski Walczącej, orzeł w koronie, syrenka warszawska i odznaka oddziału. Lampion zajął się od świeczki na choince w Stalagu Moosburg, do którego Zbigniewa Śliwowskiego przeniesiono w październiku 1944 roku, i odznaka oddziału spłonęła. Przechowane przez powstańca pozostałe trzy elementy lampionu można dziś oglądać na stałej ekspozycji w Łambinowicach.

Bluzeczka w pepitkę

Niezwykłą pamiątkę przekazała łambinowickiemu muzeum, we wrześniu 2009 r., Zofia Książek-Bregułowa. Obdarzona talentem aktorskim i pięknym głosem absolwentka konspiracyjnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, była łączniczką w zgrupowaniu AK „Kybar".

5 września 1944 r. eksplodujący pocisk zranił jej nogi, klatkę piersiową, głowę i oczy. Straciła wzrok. W powstańczym szpitalu, przed wywózką do obozu jenieckiego, dostała od znajomej kawałek materiału. Pielęgniarka zawinęła jej w tę tkaninę ręcznik, mydło, szczoteczkę i pastę do zębów.

Powstańcy warszawscy, wśród których po raz pierwszy w dziejach wojen było tak wiele kobiet, wprowadzili zamieszanie w rytm jenieckiego życia

Był to cały majątek, jaki ranna łączniczka ocaliła z Warszawy. W jednym z obozów, przez które przeszła, koleżanka uszyła jej z tego skrawka materiału sukienkę, w której występowała, śpiewając dla towarzyszy niedoli.

Po wojnie znalazła się w Edynburgu, w szpitalu im. Paderewskiego, gdzie po operacji odzyskała częściowo wzrok w prawym oku. Do Polski wróciła w 1947 roku. Pracowała w Polskim Radiu w Warszawie, w latach 1949-1951 występowała na deskach Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej.

Pracowała też w teatrach w Zabrzu i Katowicach, gdzie dziś mieszka. Podniszczoną sukienkę przerobiła na bluzeczkę, z którą nie rozstawała się aż do przekazania do muzeum. - To nie takie proste - oddać ten kawałek materiału, gdy trochę odzyskałam wzrok, zobaczyłam, jaka to piękna pepitka - mówiła wówczas. - Jest w niej wszystko, co mi zostało po mojej ukochanej Warszawie.

Ziemia przeklęta

- Łambinowice stały się już w XIX wieku swoistą ziemią przeklętą - mówi dr Violetta Rezler-Wasielewska. - Jeszcze przed wojną francusko-pruską był tu poligon, w jej trakcie powstały obozy jenieckie. Ta ziemia dosłownie spłynęła krwią.

Znajduje się tu największy w Europie zespół cmentarzy jenieckich. Powstańcy warszawscy, cokolwiek by mówić o tragicznych okolicznościach, w jakich trafili do łambinowickiego stalagu, młodzi, dumnie rozśpiewani, wśród których po raz pierwszy w dziejach wojen było tak wiele kobiet, wprowadzili mnóstwo zamieszania w ustabilizowany na swój sposób rytm jenieckiego życia.

Pamiątki po nich są bezcenne. Przez te przedmioty, z których każdy ma swoją historię, najłatwiej nam dziś dotrzeć z opowieścią o tamtych czasach do dzieci i młodzieży.

** Tekst powstał w 2011 r.*

AUTOREKLAMA

nasza HISTORIA

Nasza historia nigdy się nie powtarza

naszahistoria.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA 0211461412



eprasa.pl f0a4de73b8

LUDZKIE HISTORIE

Antoś i Gabryś w końcu będą mogli powiedzieć, co czują

Przez kilka lat ich rodzice uczyli się odczytywać najmniejsze sygnały: spojrzenie, uśmiech, ruch ręki, zmianę wyrazu twarzy. Każda taka wskazówka mogła oznaczać, że dziecko czegoś potrzebuje, coś je boli albo po prostu chce coś przekazać. Czteroletni Antoś i pięcioletni Gabryś rozumieją świat wokół siebie, mają swoje emocje, potrzeby i upodobania, ale do tej pory nie mogli wyrazić ich słowami. Teraz ma się to zmienić

Magda Ciasnowska

W minioną niedzielę – dzięki wsparciu białostockiej Fundacji Małe Cuda – chłopcy otrzymali specjalistyczne urządzenia do komunikacji alternatywnej sterowane wzrokiem. To one sprawią, że Antoś i Gabryś będą mogli samodzielnie wybierać komunikaty, odpowiadać na pytania i mówić o tym, co czują. Dla wielu osób jest to po prostu tablet, zaś dla Antosia i Gabrysia narzędzie, które może otworzyć im drogę do większej samodzielności i kontaktu z najbliższymi.

Urządzenia PC-Eye wykorzystują technologię śledzenia ruchu gałek ocznych. Po odpowiedniej kalibracji dziecko może wybierać znajdujące się na ekranie symbole i komunikaty tylko za pomocą wzroku. Dzięki temu osoby, które nie mogą mówić lub mają bardzo ograniczoną możliwość porozumiewania się, zyskują szansę na wyrażenia siebie.

– Dziś odmieniło się nie tylko życie dwóch chłopców, ale można śmiało powiedzieć, że także dwóch rodzin. Dzięki tym urządzeniom dzieci będą mogły komunikować się z rodzicami, wyrażać swoje potrzeby i emocje. Rodzice z kolei będą mogli lepiej je rozumieć. To powinno ograniczyć wzajemną frustrację i sprawić, że codzienne funkcjonowanie stanie się łatwiejsze – mówi Marcin Rećko, prezes Fundacji Małe Cuda.



FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Nowy sprzęt odmienił nie tylko życie dwóch chłopców, ale także rodziców, którzy mogą lepiej rozumieć swoje dzieci

Antoś

Antoś ma prawie cztery lata. Urodził się w ciężkiej zamartwicy po bardzo trudnym porodzie. Konsekwencją komplikacji jest kinetyczne mózgowe porażenie dziecięce, które sprawia, że chłopiec nie ma pełnej kontroli nad ruchami swojego ciała. Na co dzień wymaga pomocy przy wielu podstawowych czynnościach. Nie potrafi samodzielnie jeść, siedzieć ani wykonywać rzeczy, które dla zdrowych dzieci są naturalną częścią dzieciństwa. Jednocześnie – jak podkreślają jego rodzice – Antoś jest bardzo ciekawy świata. Chce uczestniczyć w tym, co dzieje się wokół niego. Chce bawić się tak jak inne dzieci, reagować, wybierać i podejmować decyzje.

– Antoś jest bardzo ruchliwym dzieckiem. Kiedy widzi, że inne dzieci się bawią, grają w piłkę, nie chce siedzieć w wózku. Chce, żebyśmy go wzięli na ręce, żeby mógł uczestniczyć w tym wszystkim razem z nimi. Choroba mu to niestety uniemożliwia – opowiada Katarzyna Tabor, mama chłopca.

Codzienność jej i męża Jakuba jest podporządkowana potrzebom syna. To godziny rehabilitacji, wizyty u specjalistów i ciągła obecność przy Antku.

– Jesteśmy z nim praktycznie cały czas, ale mamy też ogromne wsparcie rodziny, znajomych i sąsiadów. Wokół siebie mamy bardzo dużo dobrych osób – podkreśla Jakub Tabor.

Nowe urządzenie ma dać Antosiowi przede wszystkim poczucie sprawczości.

– Antoś nie mówi, ale to nie znaczy, że nie ma nic do powiedzenia. Dzięki temu urządzeniu będzie mógł wyrazić siebie. Będzie mógł powiedzieć, że jest głodny, że chce mu się pić, że czegoś nie chce, ale też powiedzieć „kocham cię" czy „dziękuję" – uśmiecha się tato chłopca.

Antoś miał już kontakt z podobną technologią podczas zajęć z komunikacji alternatywnej. Na początku wybierał spośród zaledwie kilku symboli, ale z czasem lista możliwości się powiększała. Dziś potrafi wskazać, co chciałby robić, wybrać aktywność, przywitać się czy pokazać, że coś mu się podoba.

– Zależy nam na tym, żeby Antek był szczęśliwy. Chcemy, żeby poczuł, że może coś sam wybrać i zdecydować. Że ma wpływ na to, co się dzieje. Już wcześniej widzieliśmy, ile radości daje mu możliwość samodzielnego wyboru – dodaje mama chłopca.

Gabryś

Podobną drogę przechodzi Gabryś, który niedługo skończy pięć lat. Chłopiec urodził się w 38. tygodniu ciąży, ale podczas porodu doszło do komplikacji. Dziś zmaga się z mózgowym porażeniem dziecięcym oraz padaczką lekooporną. Nie potrafi mówić, dlatego jednym z największych wyzwań jest komunikacja.

– Dużo go rehabilitujemy. Właściwie całe jego życie to rehabilitacja. Ale Gabryś jest bardzo radosnym chłopcem. Mam nadzieję, że sprzęt, który otrzymaliśmy, pomoże mu komunikować się z otoczeniem i pokaże nam jego świat jego oczami – mówi Justyna Haponik, mama chłopca.

Rodzina już wcześniej próbowała różnych sposobów komunikacji alternatywnej, m.in. przy wykorzystaniu symboli i obrazków.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że dostaniemy ten sprzęt, wróciliśmy do takiej komunikacji. Mieliśmy okazję korzystać z podobnego urządzenia podczas zajęć i widzieliśmy, że Gabrysiowi się to podoba. Myślę, że to będzie ogromny krok dla jego rozwoju. W końcu będzie mógł pokazać nam swoje emocje i potrzeby – opowiada mama chłopca.

Codzienność rodziny Gabrysia to przede wszystkim terapia. Gabryś korzysta m.in. z rehabilitacji metodą Vojty, terapii Medek, zajęć na basenie, komunikacji alternatywnej, terapii neurologopedycznej, terapii Bowena oraz ZOGA.

– Nawet zabawa jest trochę rehabilitacją. Staramy się jednak, żeby Gabryś miał szczęśliwe dzieciństwo. Pokazujemy mu świat najlepiej jak potrafimy – mówi jego mama.

Rodzina stara się także znaleźć czas na zwykłe dziecięce radości. Niedawno byli na krótkim wyjeździe.

– Nie pozwalamy sobie na długie podróże, bo nowe miejsca są dla niego trudne. Mamy jednak swoje ulubione miejsce z basenem. Gabryś uwielbia pływać – opowiada pani Justyna.

Dzięki komunikacji alternatywnej chłopiec może już dokonywać prostych wyborów. Wskazuje, co chce zjeść, czego się napić albo czy chce kontynuować daną aktywność.

– Najbardziej podoba mu się wybieranie piosenek. Jego ulubiona to „Wieloryb" ze „Śpiewanek" – uśmiecha się mama Gabrysia.

Rodzice chłopca nie marzą o wielkich rzeczach. Najważniejsze dla nich jest to, by syn był szczęśliwy.

– Nie planuję daleko do przodu. Żyję z dnia na dzień. Chcę cieszyć się każdym momentem z Gabrysiem i każdym jego postępem. Chcę po prostu być dobrą mamą – podkreśla pani Justyna.

Rehabilitacja i technologia to większe możliwości

Obaj chłopcy wymagają długotrwałej, systematycznej rehabilitacji.

– Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kiedy taka rehabilitacja się zakończy. Polega ona na powolnym usprawnianiu. Czasami pracujemy nad dużymi rzeczami, jak nauka siedzenia, a czasami nad tym, żeby dziecko mogło sięgnąć ręką po zabawkę – tłumaczy Edyta Rećko, fizjoterapeutka chłopców.

Jak dodaje, w przypadku Antosia i Gabrysia problemem nie jest tylko ruch, ale również możliwość komunikowania się.

– Żaden z chłopców nie mówi. Mają też trudność z tym, żeby precyzyjnie trafić ręką do celu. Urządzenie wykorzystujące ruch gałek ocznych pozwala im odpowiadać na pytania, wyrażać emocje i potrzeby. Dzięki temu zmniejsza się frustracja dzieci i rodziców – mówi.

Jej zdaniem nowoczesne technologie coraz częściej stają się ważnym elementem rehabilitacji.

– Nie da się już oddzielić klasycznej fizjoterapii od takich rozwiązań. To musi się uzupełniać. Jeżeli mamy możliwość pomóc rodzinom zdobyć taki sprzęt, warto to robić – podkreśla Edyta Rećko.

Pomoc przyszła z całej Polski

Zakup dwóch urządzeń był możliwy dzięki współpracy Fundacji Małe Cuda i społeczności BMW Z Club Polska. Podczas ogólnopolskich zlotów miłośników samochodów prowadzona była zbiórka środków na zakup sprzętu. W akcję zaangażowało się kilkaset osób. Łącznie zebrano około 250-300 wpłat, a wartość przekazanego wyposażenia wyniosła około 50 tys. zł.

– Kilka lat temu poznaliśmy się z Marcinem Rećko, jako miłośnicy motoryzacji, a później zaczęliśmy wspólnie pomagać. Zależało mi, żeby nasze zloty miały większe znaczenie niż tylko spotkania samochodowe. Dziś są także okazją do realnej pomocy dzieciom – mówi Robert Stramecki z BMW Z Club Polska.

Finał akcji odbył się podczas rodzinnego pikniku na terenie Ośrodka Doskonalenia Techniki Jazdy Faworyt w Wasilkowie. Na uczestników czekały między innymi pokazy samochodów, przejazdy sportowymi autami, symulator dachowania, atrakcje dla dzieci i pokazy ratownictwa. Podczas wydarzenia prowadzona była także zbiórka na dalszą pomoc dla podopiecznych Fundacji Małe Cuda. Udało się zebrać 9580,52 zł.

eprasa.pl f0a4de73b8

PASJE

Nie tylko dostarczam listy. Czasem jestem jedynym gościem seniora

Listów jest dziś mniej, paczek coraz więcej, ale jedno pozostaje niezmienne – mieszkańcy wciąż czekają na swojego listonosza. Dawid Ziomek od ponad 20 lat każdego dnia, niezależnie od pogody, przemierza swój rejon, dostarczając nie tylko przesyłki i papierowe wydania gazet, ale przede wszystkim dobre słowo, uśmiech oraz chwilę rozmowy

Urszula Sobol



FOT. KRRZYSZTOF KAPICA

Dawid Ziomek od ponad 20 lat pracuje jako listonosz. Każdego dnia przemierza w Rzeszowie kilkanaście kilometrów, by dostarczyć mieszkańcom listy, paczki i prasę

Ponad 20 lat pracy jako listonosz to imponujący staż. Co sprawia, że ten zawód wciąż daje panu tyle satysfakcji?

Lubię to, co robię. Każdy dzień jest inny. Spotykam różnych ludzi, rozmawiam z nimi, widzę, jak zmienia się otoczenie, a także osiedla i całe społeczności. Listonosz to nie tylko osoba, która dostarcza listy czy przesyłki. Często jestem dla mieszkańców bardzo dobrym znajomym, z którym można zamienić kilka słów. Dla niektórych, zwłaszcza osób starszych, czasem jedynym gościem, którego widzą w ciągu dnia. Motywację daje mi również poczucie, że moja praca ma sens i jest potrzebna. Mimo rozwoju technologii wciąż są rzeczy, których nie da się zastąpić: to ważna przesyłka, urzędowy list czy zwykła życzliwość i uśmiech przy doręczaniu korespondencji. Największą satysfakcję sprawia mi zaufanie ludzi. Kiedy słyszę zwykłe „Dzień dobry" albo widzę, że ktoś cieszy się na mój widok, wiem, że przez te wszystkie lata udało mi się zbudować wspaniałe relacje. To właśnie one sprawiają, że każdego dnia z przyjemnością i radością wychodzę w swój rejon.

Jak przez lata zmienił się zawód listonosza?

Zmieniło się naprawdę bardzo dużo. Kiedy zaczynałem pracę w 2004 roku, torba listonosza była wypełniona przede wszystkim tradycyjnymi listami: prywatną korespondencją, kartkami czy rachunkami. Dziś takich listów jest jakby mniej, bo wiele spraw załatwiamy przez internet czy różnego rodzaju aplikacje. Za to znacznie wzrosła liczba paczek. Rozwój zakupów internetowych sprawił, że stały się one codziennością w pracy listonosza. Coraz częściej dostarczamy przesyłki zamówione przez internet, a okresy przed świętami czy innymi okazjami potrafią być naprawdę intensywne. Zmieniły się także oczekiwania klientów.

Czyli...

Dzisiaj liczy się nie tylko terminowość, ale również dobra komunikacja i wysoka jakość usługi. Listonosz musi być elastyczny, dobrze zorganizowany i gotowy na różne sytuacje. Mimo tych wszystkich zmian jedno pozostało niezmienne: najważniejszy w tej pracy jest kontakt z ludźmi. To właśnie on sprawia, że ten zawód wciąż ma swój wyjątkowy charakter i daje dużo satysfakcji.

Co jest największym wyzwaniem w pracy listonosza?

Mój dzień zaczyna się wcześnie rano w Urzędzie Pocztowym Rzeszów 6. Najpierw należy przygotować korespondencję i przesyłki, ułożyć je według trasy oraz sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Dopiero wtedy mogę wyruszyć w swój rejon. Każdego dnia pokonuję około 15 do 20 kilometrów pieszo, niezależnie od pogody. Latem towarzyszy mi upał, zimą mróz i śnieg, a jesienią czy wiosną często deszcz. Pogoda nie wybiera, a listonosz musi dotrzeć do każdego adresata. Ta praca wymaga dobrej organizacji, odpowiedzialności i kondycji. Trzeba pamiętać o terminowym doręczeniu przesyłek, zadbać o bezpieczeństwo powierzonych dokumentów i jednocześnie znaleźć czas na rozmowę z mieszkańcami. Każdy dzień przynosi coś nowego. Czasem jest to konieczność wniesienia ciężkiej paczki, innym razem odnalezienie adresu, który nie jest łatwy do zlokalizowania, albo zmierzenie się z niesprzyjającą pogodą czy bardzo ruchliwą ulicą. Największym wyzwaniem jest jednak pogodzić tempo pracy z uważnością na drugiego człowieka. Staram się, żeby każdy mieszkaniec czuł, że nie jest tylko kolejnym adresem na liście. Czasem wystarczy krótka rozmowa, życzliwe „Dzień dobry" czy zwykły uśmiech, żeby komuś poprawić dzień. To właśnie takie chwile przypominają mi, że praca listonosza to nie tylko doręczanie przesyłek, ale także budowanie codziennych, wspaniałych relacji z ludźmi.

Mówi pan, że w tej pracy najważniejsze są relacje z ludźmi. Czy jakieś spotkanie szczególnie zapadło Ci w pamięć?

Przez ponad 20 lat takich historii uzbierało się naprawdę wiele. Najbardziej zapadają mi jednak w pamięć nie wielkie wydarzenia, ale zwykłe, codzienne spotkania. W moim rejonie są osoby, które znam od lat. Widziałem, jak dorastały dzieci, jak zmieniały się całe rodziny i sąsiedztwa. Dzisiaj często witamy się po imieniu. Zamieniamy kilka słów na przeróżne tematy czy o codziennych sprawach. Jako listonosze jesteśmy też w pewnym sensie świadkami najważniejszych momentów ludzkiego życia. Widzimy chwile radości, kiedy dostarczamy wyczekiwane przesyłki, ale bywamy też blisko tych najtrudniejszych momentów. Nigdy nie zapomnę spotkania z pewnym starszym panem, którego znałem od wielu lat. Wiedziałem, że ciężko choruje, że zbliża się kres jego życia. Kiedy pewnego dnia przyszedłem do niego, choć było to bardzo trudne, znalazł w sobie siłę, aby pożegnać się ze mną. Przytuliliśmy się, zostały wypowiedziane ostatnie słowa pełne wdzięczności za wszystko i obaj mieliśmy świadomość, że widzimy się po raz ostatni. Kilka dni później dotarła do mnie wiadomość o jego odejściu. To było jedno z tych spotkań, które na zawsze pozostają w pamięci i przypominają, jak wielką wartość mają zwykła obecność, życzliwość i relacje z drugim człowiekiem.

Czy w dobie technologii i szybkich wiadomości papierowy list wciąż ma dla pana wyjątkową wartość?

Odręcznie napisany list ma swoją duszę, bo niesie nie tylko słowa, ale także obecność drugiego człowieka. Widać w nim charakter pisma, sposób stawiania liter, czasem ślad pośpiechu czy wzruszenia. Tego nie da się skopiować ani wysłać jednym kliknięciem.Nie jestem przeciwnikiem nowych technologii. Telefon, e-mail czy komunikatory bardzo ułatwiają życie i sprawdzają się, gdy liczy się szybkość. Jednak list ma zupełnie inną wartość. Pisząc go, poświęcamy komuś swój czas, zatrzymujemy się na chwilę i zastanawiamy nad każdym słowem. Wiadomości w telefonie szybko giną wśród setek innych, a list można schować do szuflady, wrócić do niego po latach i ponownie przeżyć emocje. Wiele osób przechowuje listy od rodziców, dziadków czy bliskich, których już z nami nie ma. Taki list staje się bezcenną pamiątką i częścią rodzinnej historii, dlatego warto czasem wziąć kartkę, pióro lub długopis i napisać kilka szczerych zdań do kogoś bliskiego. To prosty gest, który może sprawić ogromną radość, a po latach stać się jedną z najcenniejszych pamiątek.

Dostarcza pan również papierowe wydanie gazet?

Oczywiście. Od początku mojej pracy doręczanie prenumeraty było częścią codziennych obowiązków. Gdy wracam myślami do 2004 roku, pamiętam zapach świeżo wydrukowanej gazety, który towarzyszył nam podczas przygotowywania przesyłek i ruszania w rejon. Przez lata miałem wrażenie, że Poczta i „Nowiny" są sobie bardzo bliskie. My dostarczaliśmy gazetę, a mieszkańcy czekali na nią przy porannej kawie. Wielu czytelników od lat korzysta z prenumeraty i z uśmiechem odbiera kolejne wydania. To pokazuje, że papierowa gazeta wciąż ma swoje miejsce w codziennym życiu. Lubię żartobliwie mówić, że jeśli ktoś chce codziennej wizyty listonosza, wystarczy zamówić prenumeratę „Nowin". To także okazja do bliższych relacji z czytelnikami: znamy się od lat, zamieniamy kilka słów, a gazeta staje się pretekstem do tych codziennych spotkań. Papierowe wydanie to nie tylko informacje, ale też element porannego rytuału, chwila spokoju z filiżanką kawy i możliwość przeczytania wiadomości. Cieszę się, że jako listonosz mogę być częścią tej codzienności.

Został pan nominowany do ogólnopolskiego plebiscytu „Listonosz Roku 2026". Co oznacza to wyróżnienie?

Odbieram to nie tylko jako docenienie mojej pracy, ale także wszystkich listonoszy, z którymi miałem zaszczyt pracować przez ponad 20 lat. Jeśli dziś reprezentuję Podkarpacie, to czuję, że reprezentuję również wszystkich listonoszy naszego regionu. To osoby, które każdego dnia, niezależnie od pogody i liczby kilometrów, wykonują swoją pracę z zaangażowaniem, odpowiedzialnością i życzliwością wobec mieszkańców. Nie proszę o głosy wyłącznie dla siebie. Jeśli ktoś zdecyduje się mnie poprzeć, będzie to dla mnie znak uznania dla całej naszej grupy zawodowej. Bo siłą pracy listonosza nie są tylko listy i paczki, ale przede wszystkim relacje z ludźmi, rozmowy i zaufanie budowane przez lata. Wiem, że człowiek nie pamięta wszystkich doręczonych przesyłek, ale pamięta ludzi spotkanych na swojej drodze. Jeśli udało mi się dostarczyć mieszkańcom nie tylko przesyłki, ale także trochę uśmiechu i życzliwości, to będzie dla mnie największa nagroda. Głosy mieszkańców będą dla mnie radością i zobowiązaniem, aby godnie reprezentować listonoszy Podkarpacia. ©℗

eprasa.pl f0a4de73b8

OBYCZAJE

Nowe życie kościołów. Od dyskoteki przez sklepy i muzea po spa

Dawny kościół w Wieldządzu kiedyś znany był w całym kraju za sprawą legendarnej dyskoteki „Rink Weis". Potem stał pusty. W lipcu zabytek sprzedano i ma powstać w nim spa. Czy dziś kogoś to jeszcze oburza? W Polsce i Europie przybywa zdesakralizowanych kościołów, które zyskują nowe życie

Małgorzata Oberlan

399 tysięcy złotych – za taką ceną wystawiony był na sprzedaż zabytkowy budynek dawnego kościoła ewangelickiego w Wieldządzu. To mała wieś w gminie Płużnica, w powiecie wąbrzeskim (Kujawsko-Pomorskie). W latach 90. i na początku XXI wieku była na ustach połowy Polski właśnie za sprawą tej świątyni. Działała tu budząca kontrowersje dyskoteka „Rink Weis", znana z zapasów w kisielu i szaleństw do białego rana.

– Wieldządz to legenda, moje dziecko, kilkanaście lat mojego życia. Do dziś ludzie wspominają nasze imprezy; słyszę to regularnie. Życzę temu miejscu wszystkiego najlepszego, bo czemu miałbym życzyć źle? Mam swój sukces biznesowy w Kwidzynie, jestem szczęśliwym człowiekiem, ale jak usłyszałem, że teraz ten kościół pod spa sprzedano, to za bardzo mi się to nie podoba. Chyba z wiekiem człowiekowi myślenie się zmienia – mówi nam dziś Sławomir Weisner, który ćwierć wieku temu sam szokował, prowadząc wspomnianą dyskotekę w dawnym kościele.

Prawda, że historia bywa przewrotna?

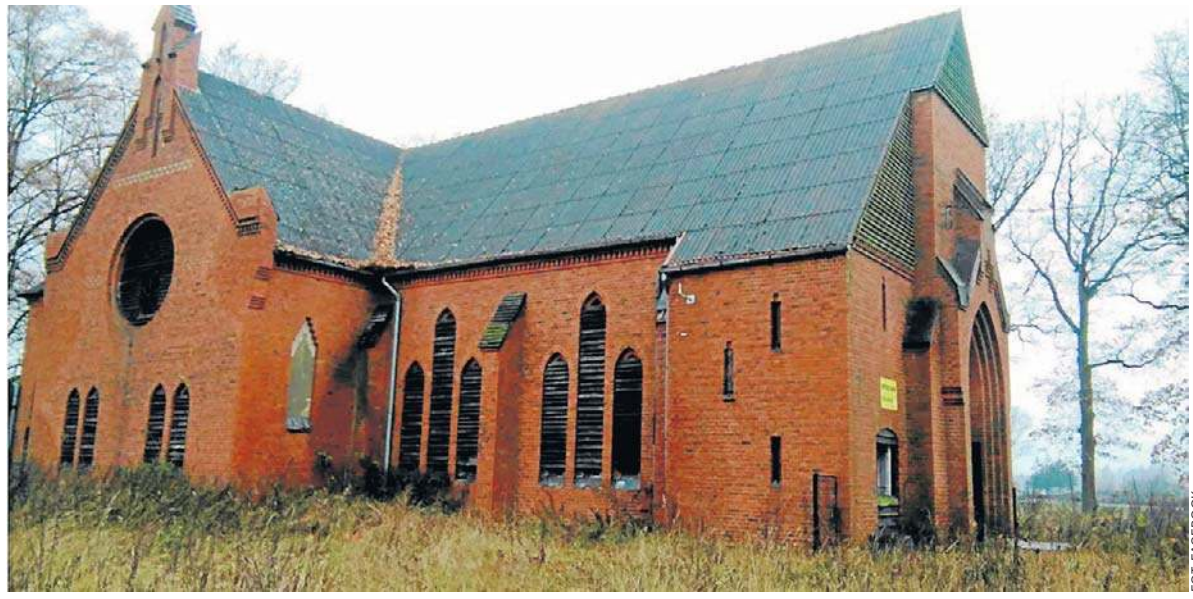

FOT. FACEBOOK

W 1889 r. urządzono w Wieldządzu nową parafię ewangelicką: poświecono fundamenty, wzniesiono kościół. Po wojnie opuszczona świątynia wykorzystywana była m.in. jako magazyn zbożowy



FOT. SOWA NIERUCHOMOŚCI

Przez lata trwały starania, by kościół sprzedać. Teraz się udało – pochwaliło się w lipcu toruńskie biuro Sowa Nieruchomości. Nowy właściciel planuje otworzyć tutaj spa

Odnowa biologiczna w kościele. Entuzjazm czy „spa na kościach"?

Na początku lipca toruńskie biuro Sowa Nieruchomości pochwaliło się, że kościół sprzedało. Personaliów nowego właściciela na razie nie ujawnia. Zapowiada jednak, że ten stworzy w dawnej świątyni kameralne spa, co „z pewnością spotka się z entuzjazmem lokalnej społeczności", jak wierzy pośrednik Nikodem Woźniak.

– Nie wiem, czy z entuzjazmem, ale jestem przekonany, że wizja stworzenia takiego spa w pustym i zaniedbanym od lat dawnym kościele nie wzbudzi już żadnych kontrowersji. Ani wśród lokalnej społeczności Wieldządza, ani w gminie. Na pewno sytuacji nie można porównywać do lat 90. i działania w tym kościele dyskoteki „Rink Weis". Inne czasy, inna rzeczywistość, inny profil biznesu. Jako gmina stawiająca teraz także na rozwój turystyki możemy tylko zyskać – uważa Leszek Kawski, zastępca wójta Płużnicy.

Tak idealnie z tą społeczną akceptacją chyba jednak nie jest. „Lokalne media z niespotykanym entuzjazmem donoszą o sprzedaży dawnego kościoła ewangelickiego w Wieldządzu (gm. Płużnica, pow. wąbrzeski). O dyskotekach i zapasach w kisielu wspominają z wypiekami na twarzy, ale o tym, że przynależny do sprzedanej działki zadrzewiony teren zielony to dawny ewangelicki cmentarz parafialny założony w 1901 roku to już nie warto wspominać. Jeśli nowemu właścicielowi uda się zrealizować swoje zamierzenia, to będzie tam spa na kościach" – komentuje na swoim fanpage'u Stowarzyszenie Lapidaria, zajmujące się zapomnianymi cmentarzami Kujaw i Pomorza.

Kościół gmina sprzedała w latach 90. XX wieku. „Zapłatą był używany radiowóz z Niemiec"

Historia kościoła w Wieldządzu to z jednej strony historia wsi i gminy, ale też barwna historii kapitalizmu lat 90. Oczywiście to także historia ludzi związanych z tym miejscem – prowadzącego przez lata dyskotekę biznesmena Sławomira Weisnera, ale i Leszka Kawskiego także.

– Tak się składa, że na początku lat 90., gdy gmina kościół sprzedawała, byłem wójtem Płużnicy. Do dziś pamiętam niektóre okoliczności, które po latach mogą wydawać się dość niewiarygodne – wspomina Kawski.

Historia samej wsi sięga przynajmniej 1222 roku – wtedy w przywileju łowickim Konrad Mazowiecki nadał Wieldządz biskupowi Chrystianowi. Rok później papież Honoriusz III potwierdził to nadanie. Przez wieki wieś przechodziła najróżniejsze koleje losu. W 1889 r. urządzono w Wieldządzu nową parafię ewangelicką: poświęcono fundamenty, wzniesiono kościół. W roku 1900 natomiast poświecono ewangelicki cmentarz. Tu warto wspomnieć, że w 1921 roku wieś liczyła 499 mieszkańców – 169 Polaków i 330 Niemców. Parafia ewangelicka obejmowała wsie: Wieldządz, Błędowo, Dąbrówka, Goryń, Józefkowo, Płąchawy.

Po wojnie opuszczona świątynia wykorzystywana była m.in. jako magazyn zbożowy. A sprzedana została pewnemu biznesmenowi z Niemiec na początku lat 90. Dyskoteka „Rink Weis" otwarta została w roku 1993.

– Kościół jako gmina najpierw skomunalizowaliśmy, wcześniej pytając ewangelików i inne wyznania, czy nie roszczą sobie do niego praw. Opcja sprzedaży budynku biznesmenowi z Niemiec rozpaliła we wsi apetyty na zysk. Decyzji o sprzedaży nie podejmowałem samodzielnie – zarząd gminy był pięcioosobowy. Pamiętam, że niektórzy z zarządu liczyli na jakieś milionowe czy wielotysięczne zyski. Tymczasem zainteresowany kupiec sprawę postawił tak: on inwestuje w remont i adaptację, stworzy tu „coś ładnego" i płaci symbolicznie. Inaczej gotów był się wycofać – wspomina Leszek Kawski.

Ostatecznie stanęło na tym, że gotów już rezygnować biznesmen dał się przekonać do „położenia na stół kilku tysięcy złotych", ale i obiecał załatwić... niemiecki, używany samochód dla policji w Płużnicy.

– To był początek lat 90. Sam jechałem do Kolonii odebrać ten pojazd. Samochód był używany, ale nieporównywalny z innymi wówczas radiowozami w naszym kraju. Policja w Płużnicy była chyba pierwszą w kraju z zachodnim autem na stanie – śmieje się obecny zastępca wójta gminy.

Sławomir Weisner natomiast zdradza dziś jeszcze więcej. – To nie był tak naprawdę żaden wielki biz-

eprasa.pl f0a4de73b8

Plebiscyt Uśmiech Dziecka. Wybraliśmy najpiękniejsze dziecięce uśmiechy

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

3 sierpnia 2026 r

Uśmiech dziecka

Lucius Włoczkowski
Warszawa

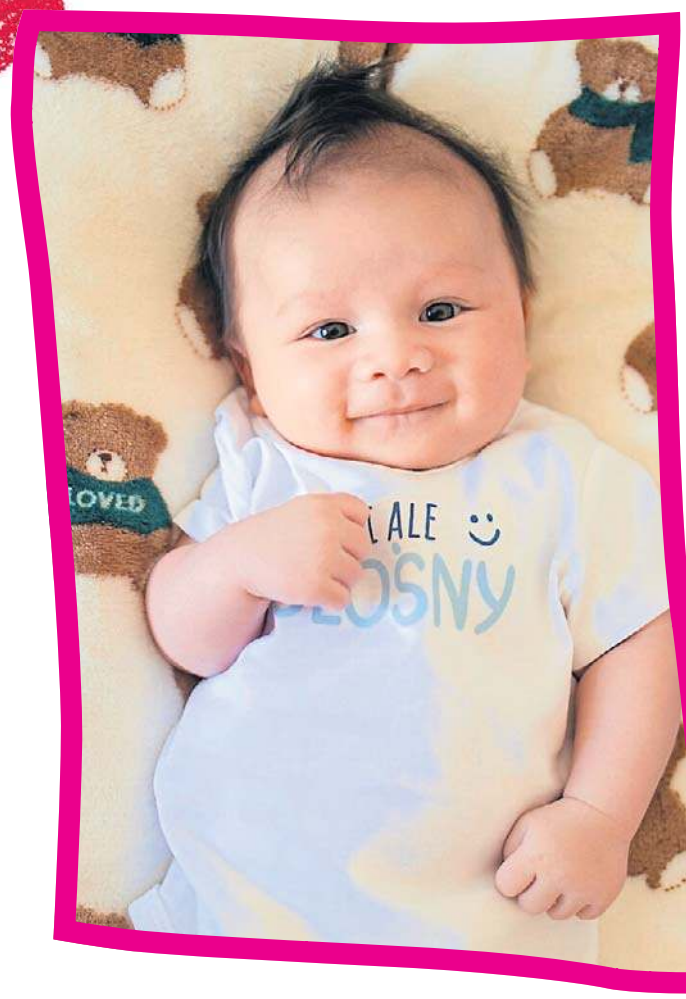

Zuzanna Rudowska
powiaty: gostyniński, płocki i sierpecki



FOT. GETTYIMAGES

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA

OTO ZWYCIĘZCY AKCJI UŚMIECH DZIECKA!

Poznajcie laureatów tegorocznej edycji akcji Uśmiech Dziecka. To właśnie ich fotografie zdobyły największą sympatię głosujących. Dla nas bohaterem tej akcji jest jednak każde dziecko, które podzieliło się z nami swoim uśmiechem. Każde z prezentowanych zdjęć zatrzymało w kadrze wyjątkowy moment dzieciństwa - pełen radości, spontaniczności i beztroski, które tak pięknie wpisują się w świat najmłodszych. A dziś zapraszamy do obejrzenia galerii laureatów - i jeszcze raz serdecznie gratulujemy wszystkim wyróżnionym rodzinom.



Maja Bodytka
Ostrołęka i powiaty ostrołęcki i ostrowski



Jan Szałkowski
Ostrołęka i powiaty ostrołęcki i ostrowski



Wojciech Kaliński
Płock



Brajan Kozyra
Płock



Filip Ławnik
Siedlce i powiat siedlecki



Wojciech Wróbel
Siedlce i powiat siedlecki



Lucius Włoczkowski
Warszawa



Aleks Andrzejczyk
Warszawa

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA



Jagoda Grabowska
powiat ciechanowski



Oskar Stryjewski
powiat ciechanowski



Róża Łuka
powiat garwoliński



Natan Filipowicz
powiat garwoliński



Oliwia Gęborys
powiat grodziski



Tymoteusz Szelachowski
powiat grodziski



Franciszek Chmielewski
powiat legionowski



Bat-Khuslen Battur
powiat legionowski

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA



Hania Romaniuk
powiat łosicki



Malwina Romaniuk
powiat łosicki



Laura Solka
powiat łosicki



Gabryś Lasek
powiat miński



Gabrysia Kowalik
powiat miński



Aleksandra Jankowska
powiat mławski



Bartosz Sowa
powiat mławski



Leon Kułakowski
powiat nowodworski

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA



Miłosz Młynarek
powiat nowodworski



Aurelia Mędrzycka
powiat otwocki



Emilia Lesiak-Vodzinska
powiat otwocki



Stefan Zagajewski
powiat piaseczyński



Karolina Povpa
powiat piaseczyński



Kajetan Gruszka
powiat płoński



Amelka Werkowska
powiat pruszkowski



Hanna Przydatek
powiat pruszkowski

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA



Szymon Kołek
powiat wołomiński



Dawid Sasin
powiat wołomiński



Liwia Zaborowska
powiat żuromiński

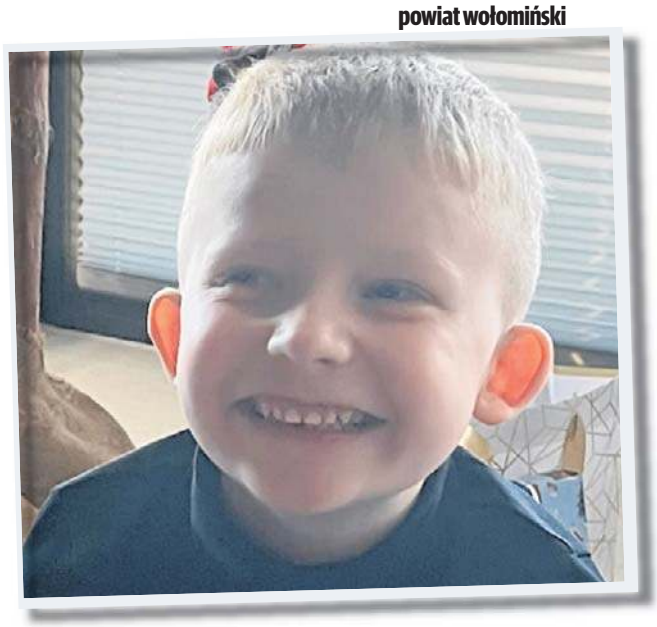

Ksawery Kosiński
powiat żuromiński



Rozalia Wylezińska
powiat żyrardowski



Stefania Kurek
powiat żyrardowski



Szymon Jan Lewiński
powiaty: gostyniński, płocki i sierpecki



Zuzanna Rudowska
powiaty: gostyniński, płocki i sierpecki

eprasa.pl f0a4de73b8

UŚMIECH DZIECKA



Aleksander Wilga
powiaty: makowski i przasnyski



Antoni Pietuchowski
powiaty: makowski i przasnyski



Zuzanna Świdwa
powiaty: pułtuski i wyszkowski



Weronika Stańkowska
powiaty: pułtuski i wyszkowski



Nikodem Kamiński
powiaty: sochaczewski i warszawski zachodni



Rozalia Woźniak
powiaty: sochaczewski i warszawski zachodni



Nadia Żochowska
powiaty: sokołowski i węgrowski



Nikola Nowakowska
powiaty: sokołowski i węgrowski

eprasa.pl f0a4de73b8

AUTOREKLAMA

O KOBIETACH I DLA KOBIET

stronakobiet.pl



sK strona KOBIET

eprasa.pl f0a4de73b8

nesmen. Pan Rink był w Kolonii kościelnym. W kupionym kościele wcale nie planował założyć dyskoteki. Pierwotny plan jednak mu nie wypalił i wtedy pojawiłem się ja, z pomysłem na rozrywkę. Tak właśnie powstał lokal „Rink Weis", stąd ta nazwa – mówi.

Dyskoteka. Ksiądz poświęcił, VIP-y przyszły, a rolnicy zarabiali na parkingu

Nowy właściciel kościoła w dużej mierze własnymi rękoma remontował kościół. Miejscowi pamiętają choćby, jak „siedział na dachu i robił". Leszek Kawski zapewnia natomiast, że władze gminy nie wiedziały na początku, że planuje w dawnej świątyni otworzyć dyskotekę. Sądziły, że zapowiadane „coś ładnego" będzie siedzibą firmy lub czymś podobnym.

No, a potem bomba wybuchła. We wspomnianym 1993 roku otwarta została dyskoteka „Rink Weis". Jej prowadzenie powierzono Sławomirowi Weisnerowi – wówczas młodemu przedsiębiorcy z raczkującej branży rozrywkowej. Dziś – człowiekowi, który z sukcesem prowadzi Centrum Konferencyjno-Bankietowe w Kwidzynie (wcześniej miał tutaj dyskotekę, podobnie jak w Wieldządzu).

– Na początku aż tak wielkich kontrowersji nie było. Ksiądz z Płużnicy nawet poświęcił lokal przed otwarciem. Tak się złożyło, że był wtedy u nas postępowy kapłan, po misjach w Norwegii. Mówił, że Pismo święte każe się ludziom także radować i bawić – wspomina Leszek Kawski.

Na otwarcie dyskoteki przybyły zaproszone lokalne VIP-y. Kawski także: – Nie za bardzo wiedzieliśmy, jak się w takiej sytuacji i miejscu zachować. Zabawnie nieco było.

Potem lokal zyskiwał na popularności. Imprez i gości – także z coraz odleglejszych stron – przybywało do Wieldządza coraz więcej. Biznes się kręcił.

– Zarabiali także miejscowi i byli zadowoleni. Tak więc z tym oburzeniem i kontrowersjami w tamtych czasach wśród lokalnej społeczności nie było do końca tak, jak dziś niektórzy opowiadają. Rolnicy na przykład szybko zorientowali się, że mogą zarobić na miejscach parkingowych dla gości dyskoteki, na polu – zauważa Leszek Kawski.



FOT. ALICJA PIOTROWSKA/ARCHIWUM POLSKA PRESS

Kościół w Wieldządzu zyskał rozgłos w całym kraju w latach 90. za sprawą legendarnej dyskoteki „Rink Weis". Były ty zapasy w kisielu i tańce do białego rana, a goście zjeżdżali się tu bawić nawet z dalekich stron

Disco, zapasy w kisielu, wybory mistera mokrych majteczek... I wycieczki dziennikarzy

Dyskoteka „Rink Weis" przyciągała gości z okolicy, ale i Grudziądza, Torunia, Bydgoszczy, a także znacznie dalszych regionów. Zapewniała szaleństwa przy muzyce do białego rana, a także atrakcje specjalne. Te legendarne, które przeszły już do historii, to przede wszystkim słynne zapasy w kisielu (także kobiet).

Miejsce chętnie odwiedzali też dziennikarze, by relacjonować od środka, co to się w Wieldządzu wyprawia. Nasza gazeta opisywała w 2005 roku, jak na specjalnych podestach „wyginały się zgrabne blondynki, a panowie brali udział w wyborach mistera mokrych majteczek".

– Na koniec chłopaki ściągają galoty. Wprawdzie są odwróceni do publiczności tyłem, ale w lustrach i tak wszystko widać. Laski aż piszczą z radości – mówił naszemu reporterowi Adamowi Luksowi ówczesny szef dyskoteki (28.07.2005 rok, Adam Luks „Na koniec chłopaki ściągają galoty").

Krytyków tego rozrywkowego interesu w dawnym kościele zaczęło przybywać. Starsze pokolenie mieszkańców Wieldządza także do nich należało.

– Co jakiś czas ludzie podnoszą lament, że profanuje się tutaj świętości – mówił wówczas naszemu reporterowi Sławek Weisner. – Młodzież z okolicy zakrada się do nas potajemnie. Żeby tylko rodzice się, broń Boże, nie dowiedzieli. A przecież gdyby nie my, budynek już dawno zamieniłby się w ruinę.

Interesy właścicielowi dyskoteki w Wieldządza (a miał też inne) nie do końca się jednak udały. „Rink Weis" zamknięto w 2006 r. Poprzedziły to różne wydarzenia, wokół których do dziś krążą legendy: o strzelaninie, porachunkach, długach, a w dyskotece Sławomira Weisnera w Kwidzynie – włamaniu do sejfu i kradzieży (rok 2003, sprawa opisywana w prasie).

Sławomir Weisner: „Wieldządza nigdy nie zapomnę"

Do szczegółów zamknięcia dyskoteki w Wieldządzu jej były szef, a i potem właściciel wracać dziś za bardzo nie chce. Jego życie kreci się od lat już wokół innego biznesu – Centrum Konferencyjno-Bankietowego „Weis", które działa w zabytkowych murach.

– Mam sukces w Kwidzynie, jestem szczęśliwym człowiekiem. Ale Wieldządza nigdy nie zapomnę – mówi dziś Weisner. – Zamiłowanie do zabytków też mi zostało. Do dzisiaj śpię w zabytkowej wieży.

Jak piszemy na wstępie, o sprzedaży wieldządzkiego kościoła i planie nowego właściciela przedsiębiorca wie. Co ciekawe, sam szokując ćwierć wieku temu prowadzeniem w nim głośnej dyskoteki, dziś wizji spa w dawnej świątyni nie przyklaskuje.

Desakralizowane kościoły w Polsce i Europie. Co budzi kontrowersje?

Historie desakralizowanych kościołów ewangelickich, ale i katolickich od lat budzą zainteresowanie. Stały się też przedmiotem całkiem licznych już badan i opracowań naukowych, o publicystyce nie wspominając.

Wiosną br. głośno było o pewnej świątyni w Holandii,w której powstanie... pływalnia! Mowa o kościele św. Franciszka z Asyżu w Heerlen na południu Niderlandów, który zakończył działalność liturgiczną w 2023 roku. Miasto, mając do dyspozycji pusty, ale ikoniczny budynek w centrum, postanowiło nadać mu nową funkcję.

„W konkursie na transformację kościoła zwyciężyły pracownie MVRDV i Zecc Architecten. Projekt, nazwany przewrotnie „Holy Water", ma za zadanie połączyć szacunek dla dziedzictwa z odważną wizją przyszłości. Dzięki ruchomej niecce możliwe będzie organizowanie w dawnej nawie nie tylko zajęć pływackich, ale też wydarzeń społecznych i kulturalnych. W specjalnym trybie podłoga będzie w stanie unieść się i zalać całą przestrzeń cienką warstwą wody, tworząc w ten sposób efekt lustra. Odbijające się w tafli sklepienia dadzą wrażenie, jakby użytkownicy chodzili po wodzie" – opisuje Karolina Krasny (Murator.plus, 3 kwietnia 2026 r.).

Ta dziennikarka bliżej przyjrzała się także przypadkom polskich desakralizacji., podkreślając, że w krajach takich jak Holandia, Francja czy Niemcy przekształcanie dawnych świątyni i nadawanie im nowych funkcji stało się już normą. Otwieranie w nich muzeów, centrów kulturalnych, ale i sklepów czy innych przedsięwzięć biznesowych nie szokuje. W Polsce jest inaczej – takich przypadków jest zdecydowanie mniej, a wiele budzi skrajne emocje.

Przykładem może być choćby medialna burza, która wybuchła po wystawienia na sprzedaż dawnego kościoła św. Michała Archanioła w Okrzeszynie w 2023 roku. Pojawiły się wtedy głosy mówiące o „polskiej paranoi" i „chorym systemie", który zezwala na handel kościołami.

Oczywiście mniej emocji zawsze jest w przypadku tych świątyń czy kaplic, które od lat już nie służą wiernym i lokalnej społeczności. Tak jest choćby w przypadku (okrzykniętego najdroższym w Krakowie) „Apartamentu Królewskiego" w dawnej kaplicy. Udana architektonicznie adaptacja, jak zauważa Krasna, przeszła prawie bez echa – bo społecznych emocji nie budziła.

Przez wielu znawców tematu natomiast chwalona jest w Polsce adaptacja w Sierakowie, gdzie w 2023 roku dawny kościół ewangelicki stał się Muzeum Rybołówstwa Śródlądowego. Wcześniej podobnie Muzeum Rybołówstwa zlokalizowano w Helu – także w zabytkowym, dawnym kościele ewangelickim.©℗

Kościół w Wieldządzu – mrzonki i twarda rzeczywistość

Toruńskie biuro Sowa Nieruchomości w lipcu br. doniosło, że po ponad dwóch latach poszukiwań odpowiedniego inwestora sfinalizowało właśnie sprzedaż dawnego budynku kościoła w Wieldządzu.

– Atrakcyjna cena ofertowa na poziomie 399 tysięcy złotych sprawiła, że obiekt przyciągał uwagę inwestorów z całej Polski. Pomysły na zagospodarowanie tej unikalnej przestrzeni były wręcz filmowe. Odbieraliśmy telefony od osób planujących stworzenie tam galerii sztuki, ekskluzywnego garażu dla zabytkowych aut, sali weselnej, klubu czy pensjonatu. Pojawiły się również zapytania o możliwość zaadaptowania budynku na prywatny kościół, a nawet arenę do organizacji gal bokserskich i walk w klatce – relacjonował Nikodem Woźniak, koordynator ds. sprzedaży w biurze Sowa Nieruchomości.

Ostatecznie jednak, jak zdradził pośrednik, większość entuzjastów zderzyła się z twardą rzeczywistością finansową. Barierą nie była cena zakupu, lecz ogromna kubatura obiektu i potężny budżet niezbędny do przeprowadzenia adaptacji, w tym przede wszystkim kosztownego remontu dachu.

– Finalnie nieruchomość trafiła w dobre ręce. Zamiast ringu czy klubu nocnego nowy inwestor planuje stworzyć w historycznych murach kameralne spa – przekazał Nikodem Woźniak.

Natomiast Bartosz Suprun, właściciel biura Sowa Nieruchomości, nie krył, że sprzedaż dawnego kościoła była dla niego niecodziennym momentem w zawodowej karierze. – Zrealizowałem w swojej karierze ponad 700 transakcji, ale sprzedaż tak wyjątkowego obiektu to zupełnie inna kategoria i niesamowita frajda. Największą satysfakcję daje mi znalezienie odpowiedniego nabywcy z twardym doświadczeniem biznesowym i zapleczem finansowym potrzebnym do realizacji tak złożonej inwestycji. Cieszę się, że ten piękny budynek czeka nowa, świetna przyszłość – podkreślił.

eprasa.pl f0a4de73b8

ROZMOWA

Pogryzienie i co dalej? Ekspertka: W Polsce często nie dzieje się nic

Pogryzienie 2,5-letniego chłopczyka w Łomży ponownie uruchomiło dyskusję o bezpieczeństwie i odpowiedzialności właścicieli psów. Dlaczego – zdaniem Justyny Oleś-Bernackiej z akcji Stop Agresji Psów – polskie przepisy bardziej chronią agresywne zwierzęta niż ich ofiary? Rozmawiamy o lukach w prawie, odpowiedzialności właścicieli, predyspozycjach ras i rozwiązaniach, które od lat funkcjonują w innych krajach Europy

Martyna Jurkowska

Po dramatycznym pogryzieniu 2,5-letniego chłopca w Łomży wiele osób mówi, że takich tragedii nie da się uniknąć. Pani uważa inaczej.

Uważam, że można im w dużej mierze zapobiegać. Oczywiście nie wyeliminujemy wszystkich przypadków, bo zawsze mogą zdarzyć się sytuacje nieprzewidywalne. Ale między całkowitą bezradnością a skuteczną prewencją jest ogromna przestrzeń, której w Polsce po prostu nie wykorzystujemy. W wielu krajach Europy Zachodniej czy w Niemczech funkcjonują rozwiązania, które sprawiają, że właściciel psa bierze znacznie większą odpowiedzialność za swoje zwierzę. To nie jest kwestia jednego przepisu, ale całego systemu.

Jakiego rodzaju rozwiązania ma pani na myśli?

Choćby obowiązkowe ubezpieczenie od szkód wyrządzonych przez psa. W Polsce właściwie się o tym nie mówi, a to byłoby jedno z najbardziej skutecznych narzędzi. Sam obowiązek wykupienia polisy sprawia, że część osób dwa razy zastanowi się nad wyborem psa, zwłaszcza jeśli składka dla niektórych ras byłaby znacznie wyższa. Drugim elementem są realne sankcje finansowe. Dzisiaj właściciel psa, który dopuści do pogryzienia człowieka, często kończy z mandatem wynoszącym kilkaset złotych. Trudno uznać to za karę, która kogokolwiek odstrasza. Za granicą mówimy o karach liczonych w tysiącach euro. To już zupełnie inna skala odpowiedzialności.

W przypadku pogryzienia w Łomży zwracano uwagę, że pies był na smyczy i miał kaganiec.

Tak i to od razu zwróciło moją uwagę. Oczywiście nie wiemy, dlaczego miał kaganiec. Być może nie dlatego, że wcześniej przejawiał agresję, tylko dlatego, że miał zwyczaj zjadania różnych rzeczy podczas spacerów. Nie chciałabym tu niczego przesądzać. Natomiast sam fakt, że pies był na smyczy i w kagańcu, pokazuje jedno – nawet zastosowanie podstawowych środków ostrożności nie zawsze zapobiega tragedii. Dlatego potrzebny jest system, który działa także wtedy, gdy do takiego zdarzenia już dojdzie.

No właśnie. Co dzieje się w Polsce po poważnym pogryzieniu człowieka przez psa?

I tu dochodzimy do sedna problemu. Bardzo często nie dzieje się praktycznie nic. To zdanie szokuje ludzi najbardziej, ale niestety odpowiada rzeczywistości.

Naprawdę nic?

Nie ma jasnych procedur, które nakazywałyby automatyczne działanie. Nie ma przepisu mówiącego, że po każdym poważnym pogryzieniu pies musi zostać odebrany właścicielowi albo choćby skierowany na obowiązkową obserwację. Mam oficjalne stanowisko Inspekcji Weterynaryjnej, z którego wynika, że po pogryzieniu pies powinien zostać poddany obserwacji. Problem polega na tym, że przepisy nie określają tego w sposób jednoznaczny. W praktyce raz pies trafia na obserwację, a innym razem nie. To zależy od decyzji konkretnych służb.

Od czego zależy taka decyzja?

Trudno powiedzieć, bo nie ma jasnych kryteriów. Zdarza się, że policja kontaktuje się z sanepidem i zapada decyzja o skierowaniu psa na obserwację. Innym razem uznaje się, że nie ma takiej potrzeby. Nie ma przepisu, który mówiłby wprost: każde pogryzienie oznacza obowiązkową obserwację weterynaryjną. To powoduje, że podobne sprawy są traktowane różnie.

A co właściwie sprawdza się podczas takiej obserwacji?

I tu pojawia się kolejny problem. Wiele osób jest przekonanych, że obserwacja ma ocenić, czy pies jest agresywny. Tymczasem ona służy wyłącznie wykluczeniu wścieklizny. Lekarz weterynarii nie ocenia zachowania psa. Nie bada, czy zwierzę stanowi zagrożenie. Nie wydaje opinii, czy pies powinien zostać właścicielowi odebrany. Nawet gdyby pies zachowywał się podczas obserwacji bardzo agresywnie, nie miałoby to znaczenia dla samej procedury. Co więcej, taka obserwacja może odbywać się... w domu właściciela. I to dla wielu osób jest kompletnie niezrozumiałe. Weterynarz po prostu odwiedza psa w określonych terminach i sprawdza, czy nie pojawiły się objawy wścieklizny. Pies nie musi być odizolowany. Nie trafia automatycznie do żadnej specjalistycznej placówki. Nie jest oceniany przez behawiorystę. Cała procedura dotyczy wyłącznie choroby zakaźnej, a nie bezpieczeństwa ludzi.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Justyna Oleś-Bernacka z akcji Stop Agresji Psów od lat zabiega o zmiany w przepisach dotyczących odpowiedzialności właścicieli niebezpiecznych psów

Czyli problemem nie jest to, że przepisy są źle stosowane, tylko że ich po prostu nie ma?

Dokładnie. Często słyszę, że służby zareagowały niewłaściwie. Ja patrzę na to inaczej. One bardzo często nie mają narzędzi, żeby zareagować. Nie istnieje przepis pozwalający odebrać właścicielowi psa tylko dlatego, że to zwierzę ciężko pogryzło człowieka. Nie ma podstawy prawnej do takiego działania. Dlatego mówię, że w Polsce problem nie polega na nieskutecznym reagowaniu. Problem polega na tym, że państwo stworzyło system, który w wielu przypadkach w ogóle nie pozwala skutecznie zareagować.

To oznacza, że nawet po bardzo poważnym pogryzieniu właściciel może wrócić z psem do domu?

Tak. I właśnie dlatego od lat apelujemy o zmianę przepisów. Bo pierwszym krokiem powinno być stworzenie możliwości czasowego odebrania psa właścicielowi już po poważnym pogryzieniu człowieka. Dzisiaj takich narzędzi po prostu nie ma.

Po każdej tragedii wraca dyskusja o rasach psów. Jedni twierdzą, że problemem jest wyłącznie właściciel, inni wskazują na konkretne rasy. Gdzie leży prawda?

Z prawnego punktu widzenia odpowiedzialność zawsze ponosi właściciel. To jego zwierzę i to on odpowiada za skutki jego zachowania. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Natomiast nie można udawać, że rasa nie ma żadnego znaczenia. To drugi skrajny pogląd, który również nie ma oparcia w faktach. Chcę wyraźnie podkreślić: nie istnieje coś takiego jak „rasa agresywna". To określenie jest błędne. Natomiast istnieją predyspozycje rasowe i tego nie da się podważyć.

Co to oznacza w praktyce?

Psy przez dziesiątki, a często setki lat były hodowane do wykonywania określonych zadań. Jedne miały pilnować, inne polować, jeszcze inne walczyć z innymi zwierzętami. To pozostawiło ślad w ich zachowaniu. To nie znaczy, że pies danej rasy musi być agresywny. Absolutnie nie. Ale oznacza, że może mieć określone predyspozycje, które odpowiedzialny właściciel powinien znać i brać pod uwagę. Nie możemy udawać, że wszystkie rasy różnią się wyłącznie wyglądem.

Mówi pani, że potwierdzają to statystyki.

Tak. I właśnie dlatego od lat apeluję, żeby dyskutować na podstawie danych, a nie emocji. Jeżeli przeanalizujemy przypadki śmiertelnych lub najcięższych pogryzień w Polsce, Europie czy Stanach Zjednoczonych, zobaczymy, że zdecydowana większość dotyczy stosunkowo niewielkiej grupy ras oraz psów w ich typie. W ramach akcji Stop Agresji Psów monitorujemy wszystkie medialne informacje o pogryzieniach. Oczywiście pojawiają się tam różne rasy, ale trend pozostaje bardzo podobny. Statystyki dostępne w Europie o śmiertelnych pogryzieniach wskazują jasno, że psy w typie ras niebezpiecznych oraz psy w typie ras obronnych takie jak owczarki niemieckie, belgijskie, cane corso odpowiadają za zdecydowaną większość wszystkich zdarzeń. W Polsce zaś w przypadkach najpoważniejszych pogryzień za sporą ilość odpowiadają owczarki niemieckie oraz coraz częściej owczarki belgijskie, są to to rasy obronne, popularne w Polsce, często używane do pilnowania posesji. Niestety ze względu na brak zaspokojenia potrzeb socjalizacyjnych, nudę i frustrację oraz silny instynkt terytorialny tego typu psy po opuszczeniu niezabezpieczonej posesji mogą stanowić śmiertelne zagrożenie dla przypadkowych osób, o tym fakcie ostrzegają biegli sądowi ds. zwierząt. Dodam jeszcze, że bulterier nie jest rasą uznaną za niebezpieczną w Polsce, wiele krajów posiadających listę ras niebezpiecznych uwzględniło tę rasę na niej. W Polsce w 2024 roku bulterier zagryzł domownika, 7-tygodniową dziewczynkę, z którą był oswojony, atak był nagły i niesprowokowany. To są fakty, o których trudno rozmawiać, ale nie można ich ignorować.

eprasa.pl f0a4de73b8

Wiele osób odpowiada wtedy: „To kwestia wychowania”.

Wychowanie ma ogromne znaczenie, ale nie zastąpi biologii. Chart będzie miał instynkt pogoni niezależnie od tego, jak dobrze zostanie wychowany. Terier nadal będzie wykazywał zachowania charakterystyczne dla swojej grupy ras. Owczarek nadal będzie miał silne cechy psa użytkowego. To nie jest nic złego. Problem zaczyna się wtedy, kiedy próbujemy wmówić sobie, że wychowanie całkowicie eliminuje naturalne predyspozycje psa. Takie podejście prowadzi do lekceważenia zagrożeń.

Mówi pani, że największym problemem są jednak przepisy.

Zdecydowanie. Najbardziej szokujący jest dla mnie paradoks obowiązującego prawa. Jeżeli istnieje podejrzenie, że właściciel znęca się nad psem, organizacja prozwierzęca może – przy udziale policji – szybko odebrać mu zwierzę. Natomiast jeśli ten sam pies ciężko pogryzie człowieka, przepisy nie przewidują podobnego rozwiązania. To pokazuje ogromną lukę w systemie.

Czyli człowieka chronimy słabiej niż zwierzę?

W praktyce właśnie tak to wygląda. Nie mówię tego po to, żeby przeciwstawiać ludzi zwierzętom. Uważam, że zwierzęta powinny być chronione. Ale nie rozumiem sytuacji, w której państwo stworzyło bardzo skuteczne mechanizmy ochrony psa przed człowiekiem, a jednocześnie praktycznie nie stworzyło mechanizmów chroniących człowieka przed niebezpiecznym psem. To jest paradoks, który wymaga pilnej zmiany.

Zaskakujące jest to, co powiedziała pani o możliwości uśpienia psa.

To rzeczywiście jedna z najmniej znanych kwestii. W 2005 roku z ustawy o ochronie zwierząt usunięto przepis pozwalający na uśmiercenie psa wyłącznie z powodu jego niebezpiecznej agresji. Dzisiaj psa można pozbawić życia tylko wtedy, kiedy trwa bezpośredni atak i trzeba ratować życie człowieka. Jeżeli atak już się zakończył, nawet jeśli wcześniej doszło do śmiertelnego pogryzienia, przepisy nie przewidują takiej możliwości.

Nawet jeśli behawiorysta uzna, że zwierzę nadal stanowi zagrożenie?

Nawet wtedy. To właśnie budzi największe emocje. Może się zdarzyć, że biegły oceni psa jako bardzo niebezpiecznego, ale z punktu widzenia prawa nie będzie to



FOT. 123RF

Nie istnieje coś takiego jak „rasa agresywna”. Natomiast istnieją predyspozycje rasowe i tego nie da się podważyć. Psy przez dziesiątki, a często setki lat były hodowane do wykonywania określonych zadań. Jedne miały pilnować, inne polować, jeszcze inne walczyć z innymi zwierzętami. To pozostawiło ślad w ich zachowaniu – wskazuje Justyna Oleś-Bernacka

miało znaczenia. W efekcie takie psy trafiają do fundacji, schronisk, a czasami pozostają u właścicieli. Nie istnieje również żaden ogólnopolski rejestr psów odpowiedzialnych za najcięższe pogryzienia.

Jakie rozwiązania powinny zostać wprowadzone jako pierwsze?

Nie zaczynałabym od wielkiej reformy. Najpierw wprowadziłabym kilka podstawowych zmian. Po pierwsze – znacząco podniosłabym kary finansowe za dopuszczenie do pogryzienia człowieka. Dzisiaj właściciel często ryzykuje mandat, który nie robi na nikim większego wrażenia. Po drugie – umożliwiłabym czasowe odebranie psa już po pierwszym poważnym pogryzieniu. Jeżeli okaże się, że zwierzę rzeczywiście stanowi zagrożenie, powinno istnieć narzędzie pozwalające odebrać je właścicielowi na stałe. To nie jest rewolucja. To naprawdę można wprowadzić stosunkowo szybko, dopisując kilka przepisów do obowiązujących ustaw.

Rozmawia pani o tym z politykami?

Tak. Rozmawiałam zarówno z przedstawicielami Prawa i Sprawiedliwości, jak i Koalicji Obywatelskiej. Powstały projekty zmian. Jeden z nich miałam możliwość opiniować. Cieszę się, że temat w ogóle pojawił się w debacie publicznej. Jednocześnie trudno mi zrozumieć, dlaczego kolejne miesiące mijają, dochodzi do następnych tragedii, a przepisy nadal się nie zmieniają. Mam wrażenie, że wszyscy zgadzają się, iż problem istnieje, ale brakuje determinacji, by doprowadzić sprawę do końca. Dlatego uważam, że potrzebna jest presja społeczna i medialna. Bez niej kolejne projekty mogą przez długi czas pozostawać tylko na papierze.

Mówi pani, że Polska jest pod tym względem wyjątkiem. Jak wyglądają przepisy w innych państwach?

Nie twierdzę, że gdziekolwiek stworzono system idealny, ale wiele krajów od dawna stosuje rozwiązania, których u nas po prostu nie ma. Przykładem są Niemcy czy Austria. Tam po pogryzieniu człowieka lub innego zwierzęcia pies może zostać skierowany na obowiązkowe testy behawioralne. Specjaliści oceniają, czy zwierzę stanowi zagrożenie i jakie środki bezpieczeństwa należy zastosować. Jeżeli właściciel nie przestrzega nałożonych obowiązków, może stracić psa. To sprawia, że nie traktuje takich decyzji jak pustego zalecenia.

Wspominała pani także o obowiązkowym ubezpieczeniu.

Tak. Uważam, że to jedno z najlepszych rozwiązań. W Niemczech właściciele psów mają obowiązek posiadania ubezpieczenia od szkód wyrządzonych przez zwierzę. Wysokość składki zależy między innymi od miejsca zamieszkania czy poziomu ryzyka. W dużych miastach, takich jak Berlin, jest ona wyższa, bo większe jest zagęszczenie ludzi. To rozwiązanie ma dwie zalety. Po pierwsze, zwiększa odpowiedzialność właściciela. Po drugie, daje realną pomoc ofierze. Jeżeli ktoś zostanie poważnie pogryziony i wymaga kosztownego leczenia czy operacji plastycznych, pieniądze są dostępne od razu z polisy. Nie trzeba przez wiele lat prowadzić procesu cywilnego i zastanawiać się, czy sprawca w ogóle będzie w stanie wypłacić odszkodowanie.

Po takich zdarzeniach, jak to z Łomży, wielu rodziców zaczyna bać się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Co chciałaby im pani powiedzieć?

Przede wszystkim, żeby nie bagatelizowali zagrożenia. Nie chodzi o to, żeby bać się każdego psa, ale żeby nie zakładać z góry, że właściciel zawsze panuje nad swoim zwierzęciem. Rzeczywistość pokazuje, że niestety nie zawsze tak jest. Jeżeli widzimy dużego psa, warto zachować ostrożność, nawet jeśli wygląda spokojnie. To nie jest panika, tylko zdrowy rozsądek.

Dużo kontrowersji budzi również obecność psów na placach zabaw...

To kolejny przykład luki w prawie. W Polsce nie istnieje ustawowy zakaz wprowadzania psów na place zabaw. Co więcej, sądy kwestionowały już uchwały gmin, które próbowały takie zakazy wprowadzać. Uznawano, że samorządy nie mają odpowiednich kompetencji. Efekt jest taki, że nawet miejsca przeznaczone wyłącznie dla dzieci nie zawsze są wolne od zwierząt. A przecież małe dzieci biegają, krzyczą, gwałtownie się poruszają. To może pobudzać u psa naturalne instynkty, których nie da się całkowicie wyeliminować. Dlatego uważam, że ustawodawca powinien jednoznacznie dać samorządom możliwość wprowadzania takich ograniczeń.

Czy w ogóle wiadomo, jak duży jest problem pogryzień w Polsce?

Właśnie nie. I to też jest część problemu. Nie każde pogryzienie jest zgłaszane. Nie wszystkie przypadki trafiają do sanepidu. Nie istnieje jeden kompletny system zbierania danych. Dlatego tak naprawdę nie wiemy, jaka jest rzeczywista skala zjawiska. Mam przekonanie, że jest znacznie większa, niż wynika z oficjalnych statystyk. Coraz więcej takich historii pojawia się natomiast w mediach społecznościowych. Ludzie opisują pogryzienia swoje albo swoich zwierząt. Często okazuje się, że właściciel psa po prostu odchodzi z miejsca zdarzenia i praktycznie nie ponosi żadnych konsekwencji. To również wymaga zmian.

Od początku naszej rozmowy wraca jeden motyw – odpowiedzialność. Ma pani wrażenie, że dziś za mało o niej rozmawiamy?

Zdecydowanie. Mam wrażenie, że cała dyskusja została przesunięta w stronę tego, jak powinien zachować się człowiek, kiedy atakuje go pies. Słyszymy o „pozycji żółwia”, o tym, jak chronić twarz, jak nie prowokować zwierzęcia. To oczywiście może być potrzebna wiedza. Ale dlaczego niemal nie mówi się o obowiązkach właścicieli? Dlaczego nie prowadzi się kampanii pokazujących, że duży, silny pies powinien być prowadzony przez osobę, która jest w stanie nad nim fizycznie zapanować? Dlaczego nie przypomina się, że właściciel odpowiada za bezpieczeństwo innych ludzi? Mam wrażenie, że zbyt łatwo zaakceptowaliśmy pogryzienia jako coś, co po prostu się zdarza.

Na koniec – gdyby mogła pani wprowadzić tylko jedną zmianę w prawie, od czego by pani zaczęła?

Od stworzenia możliwości natychmiastowego, tymczasowego odebrania psa po poważnym pogryzieniu człowieka. To powinno być podstawowe narzędzie państwa. To nie oznacza automatycznego odbierania zwierzęcia na zawsze. Chodzi o to, żeby państwo miało możliwość zareagowania. Dziś bardzo często jej po prostu nie ma. A dopóki tego nie zmienimy, będziemy wracać do tych samych dramatycznych historii po każdym kolejnym pogryzieniu. I za każdym razem zadawać sobie to samo pytanie: czy naprawdę musiało do tego dojść?

eprasa.pl f0a4de73b8

WYWIAD

Hadziuk zdradza kulisy i nowości 11. sezonu kultowego „Rancza”

Kultowy serial wraca po dekadzie, widzowie nie mogą się już doczekać premierowego odcinka nowej serii. Hadziuk, czyli znakomity śląski aktor, Bogdan Kalus zapewnia, że widzowie się nie zawiodą, a scenariusz jest świetny. Zapewnia, że nie zabraknie tak uwielbianej „ławeczki”, w zmienionym przez życie, ale doborowym składzie

Ireneusz Stajer



FOT. POLSKA PRESS

Hadziuk w nowym „Ranczu”

„Ranczo” wraca po dziesięciu latach. Jaka będzie „ławeczka 2026”? Minęła cała dekada, a i skład „ławeczki” będzie inny...

Mimo wszystko będzie bardzo podobna do tej sprzed dziesięciu lat. Niestety, nie mogę mówić o tym, co znajdzie się w fabule, bo nie mogę zdradzić szczegółów. Ale mogę powiedzieć, że tak jak w dziesięciu poprzednich seriach, panowie z „ławeczki” będą mieli bardzo interesujące, karkołomne pomysły na robienie różnych dziwnych rzeczy.

A „Mamrot” zostaje?

Tak, „Mamrot” zostaje (śmiech).

Na „ławeczce” pojawi się za to nowy Japycz. Daniel Olbrychski za śp. Franciszka Pieczkę. Ciekaw jestem, co pan Daniel wniesie swojego do tej roli...

Na pewno sprawdzi się w „Ranczu” bardzo dobrze. Jest wybitnym aktorem. Dla mnie i pozostałych kolegów to frajda zagrać z kolejną ikoną polskiego kina, siedząc na tej samej ławce. Najpierw był z nami Leon Niemczyk, potem Franciszek Pieczka, teraz Daniel Olbrychski, który zawsze podkreślał, że jest fanem „Rancza”. To wielka przyjemność zagrać z mistrzem.

Kiedy panowie z „ławeczki” weszli na plan filmowy?

Zdjęcia do serialu rozpoczęły się 9 czerwca w Dworku Lucy we wsi Sokule na Mazowszu. Nasza trójka zasiadła na „ławeczce” we wtorek 30 czerwca. Zdjęcia zakończą się 8 sierpnia.

Jak wygląda praca?

W ogóle nie czuję, że mieliśmy z „Ranczem” dziesięć lat przerwy. Praca idzie w dobrym tempie. Myślę, że widzowie będą zadowoleni.

Co nas może zaskoczyć w fabule nowego „Rancza”?

Nasi fani mają pewne obawy, a i my (aktorzy – red.) też mieliśmy pewne obawy co do kontynuacji serialu po dziesięciu latach. Bo wiadomo, takie działania zazwyczaj są mniej lub bardziej nietrafione. Mogę powiedzieć tylko tyle, że scenariusz jedenastej serii został bardzo dobrze napisany. Jego autorem jest zmarły już niestety Andrzej Grembowicz, czyli Robert Brutter (napisał scenariusz 30 odcinków – red.), a przez dekadę wbrew pozorom niewiele zmieniły się realia w naszym kraju. Nie chciałbym powiedzieć, że zmarły scenarzysta okazał się prorokiem, ale jestem tego bliski. Jego wyczucie sytuacji, obyczajowości, komediowości naszego społeczeństwa było na bardzo wysokim poziomie. Kiedy przeczytałem „jednym haustem” scenariusz sześciu nowych odcinków, to stwierdziłem, że jedenasta seria jest najlepiej napisana.

Jak radzą sobie w 11. serii małżonki panów z „ławeczki”, które w poprzednich częściach serialu rozwijały działalność gospodarczą?

Powiem tylko tyle, co mogę powiedzieć. W dalszym ciągu obowiązuje nas bowiem tajemnica zawodowa. W 11. sezonie nasze żony pojawiają się dosyć marginalnie. Wątek mniejszego czy większego powodzenia ich interesów biznesowych nie jest uwydatniony.

Perypetie trzech dżentelmenów z „ławeczki” są bardziej uwypuklone?

Tak, w całej tej historii jest nas sporo. Fantastycznie współpracuje się nam z Danielem Olbrychskim. Jest świetnie przygotowany do swojej roli. Myślę, że pomimo tego, co zdarza się komuś powypisywać o nim w internecie, widzowie naprawdę będą bardzo mile zaskoczeni postacią Ignaca Japycza.

To już kolejna osoba z rodziny Japyczów...

Jest kuzynem Jana Japycza (śp. Leon Niemczyk) i Stanisława Japycza (śp. Franciszek Pieczka). I przyjechał z zagranicy.

Można jakoś odnieść fabułę 11. serii do aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w Polsce?

Ona się nie zmieniła za bardzo w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Ale to jest moje prywatne zdanie. Oglądając serial, mam wrażenie, że jedna strona polityczna będzie postrzegała „w krzywym zwierciadle” swoich oponentów politycznych, tak samo jak druga strona swoich rywali w polityce. Temat jest uniwersalny.

Praca na planie takiego serialu jak „Ranczo” zapewne to nie tylko harówka, ale chyba również dobra zabawa dla aktorów...

Próbował pan kiedyś siedzieć dwanaście godzin w otwartym słońcu na ławce w takiej temperaturze, którą mamy teraz za oknami? Nas to czekało. Dzień zdjęciowy trwa dwanaście godzin, a nie osiem, jak na przykład w fabryce. Z przerwą na obiad, kiedy jest czas na żartowanie. Pamiętam pierwsze dni „ranczowe” w 2005 roku, kiedy również było bardzo gorąco, a wpadliśmy jeszcze na „genialny” pomysł; skoro jesteśmy na wsi, to będziemy siedzieli w gumowcach. Potem wylewaliśmy z tych gumowców pot. Szybko zamieniliśmy je na inne obuwie. Przed 11. serią z przerażeniem patrzyłem na prognozy pogody. Na szczęście nie załapaliśmy się na „ławeczkę”, gdy było 40 stopni C w cieniu. Ale to jest nasza praca, którą trzeba wykonać. Nie możemy tłumaczyć się, jak choćby piłkarze, że „warunki były ciężkie”. Warunki są takie same dla wszystkich.

Kiedy będziemy mogli obejrzeć serial na antenie TVP?

Nie znamy dokładnej daty emisji. Czynione są starania, żeby stało się to jeszcze w tym roku. Na pewno nie od września, bo te sześć odcinków trzeba zmontować, a postprodukcja czasami trwa dłużej niż samo kręcenie serialu czy filmu. Myślę, że jedenasty sezon „Rancza” zostanie pokazany w TVP późną jesienią.

Nie szkoda, że powstające odcinki „Rancza” będą ostatnimi w realizacji tego serialu?

Myślę, że tych sześć odcinków będzie piękną klamrą całego „Rancza”. Nie ma sensu go przedłużać. Natomiast – i nie jest to tylko moje zdanie – nikt nie będzie już w stanie napisać scenariusza „Rancza” lepiej jak robił to Andrzej Grembowicz. Aktorzy serialu nie chcą, żeby tworzył go ktoś inny.

Nad czym będzie pracował pan po „Ranczu”?

15 września mam oficjalną premierę w Teatrze Kamienica spektaklu „Na boku” w reżyserii Tomasza Dutkiewicza. Cztery dni później, w tym samym teatrze, będzie moja premiera (debiut) w granej już od pewnego czasu „Metodzie na wnuczka”, gdzie zastępuję jednego z kolegów. Plus spektakle, w których gram, a mianowicie „Niespodzianka” i „Petarda” w rzeczonej Kamienicy oraz „Ostra jazda”, „Przygoda z ogrodnikiem” i „Erotic-Zdrój”.

A w pana życiu osobistym coś się zmieniło?

U mnie jest nuda. Mam tę samą żonę, tego samego syna, tego samego psa i te same marzenia, które staramy się realizować, głównie podróżnicze. Najchętniej zwiedzamy Azję Południowo-Wschodnią, czyli Malezję, Singapur, Wietnam, Kambodżę, Indonezję, Tajlandię. Ciągnie nas tam wszystko: klimat (choć czasami jest uciążliwy przez wysokie temperatury i dużą wilgotność), jedzenie oraz wszechstronny rozwój tych krajów. Do Kuala Lumpur na przykład jeżdżę od 18 lat i za każdym razem stolica Malezji wygląda inaczej. W zeszłym roku stwierdziliśmy, że to jest już miasto XXII wieku. W Singapurze byliśmy osiem lat temu i w zasadzie nie poznaliśmy miasta, tak się rozwinęło. W Europie mamy kilka ulubionych miejsc; nie licząc Londynu, gdzie dość często chodzimy po teatrach i nie tylko – to Włochy, Hiszpania, Portugalia, Czarnogóra.

Pana syn ma coś wspólnego z aktorstwem?

Nie, Piotr lata samolotami, ale nie jest pilotem. Kiedyś ten zawód nazywał się stewardem, a teraz jest to cabin crew w Ryanairze.

eprasa.pl f0a4de73b8

HISTORIA

Zielone: „Jedź!”. Czerwone: „Stój!”. Krótka historia sygnalizacji ulicznej

Bez tego wynalazku ruch uliczny byłby chaosem. Po raz pierwszy sygnalizację elektryczną zastosowano w Cleveland w Ohio. 5 sierpnia 1914 r. na skrzyżowaniu Euclid Avenue i East 105th Street pojawiło się urządzenie regulujące ruch

Mariusz Grabowski

Autorem sygnalizacji był James Hoge, który nowatorsko zastosował dwa kolory – czerwony i zielony, jak również sygnał dźwiękowy informujący o zmianie koloru światła. Trzeci kolor, bursztynowy i sygnalizujący zmianę, został wprowadzony dopiero kilka lat później.

Londyńskie światła

Hoge wynalazł urządzenie, które z powodzeniem stosowane jest do dziś. Ale i wcześniej były próby regulowania ruchu ulicznego, choć bez użycia elektryczności. Historycy techniki podają, że 9 grudniu 1868 r., przed budynkiem brytyjskiego parlamentu w Westminster zainstalowano pierwszą na świecie gazową sygnalizację świetlną. Skonstruował ją inżynier kolejnictwa John Peake Knight.

Sygnalizacja pracowała w trybie dziennym i nocnym. W dzień nadawała sygnały za pomocą ramion „stop” i „go”, w nocy nadawała zaś sygnały świetlny czerwony i zielony. Gazowa latarnia była rewolucją na ówczesne czasy, sygnały zmieniał jednak policjant siedzący w latarni.

Dla jednego z nich skończyło się to niefortunnie. 2 stycznia 1869 r. semafor sygnalizacji eksplodował z powodu nieszczelności instalacji, a operujący ową aparaturą policjant został ranny.

„Keep right”

W Stanach Zjednoczonych, kraju motoryzacji i elektryczności, rozwiązanie z Londynu nie mogło się sprawdzić. Oblicza się, że w chwili gdy Hoge pracował nad swoim wynalazkiem w USA na 1000 mieszkańców przypadało już 96 aut (konkretnie 96,68). Wraz z rozwojem motoryzacji szybko powstawały kolejne drogi, ulice i skrzyżowania. Istniał zatem realny problem radzenia sobie z zalewem aut i ich – jak bardzo byłoby to zabawne z naszego punktu widzenia – liczbą i prędkością.

Dzieląc ulice z pieszymi i jeżdżąc nieprzewidywalnie, kierowcy powodowali bowiem alarmującą liczbę ofiar śmiertelnych i wypadków. Zaczęto zatem wprowadzać kodeksy, w tym najpopularniejszy Wiliama Phelpsa Eno, który już w 1903 r. zastosował pierwsze zasady uspokojenia ruchu, ronda, wyspy na środku skrzyżowań, a dla kierowców skręcających w lewo na skrzyżowaniu wymóg skrętu pod ostrym kątem prostym. Przyniosło to pierwszy spadek liczby wypadków w ruchu drogowym.

Hoge z patentem

Przyjrzyjmy się dokładniej wynalazkowi Hoge’a. Jego system składał się z czterech par czerwonych i zielonych świateł, które służyły jako wskaźniki „stop” – „go”, z których każdy był zamontowany na słupku narożnym. Konstrukcja była prosta: operator w kabinie przestawiał przełącznik, aby zapalić czerwone lub zielone światło na przewodach zawieszonych nad każdą stroną skrzyżowania.

Jak napisał dyrektor bezpieczeństwa publicznego w Cleveland, Alfred A. Benesch w 1915 r.: „To wyprowadza funkcjonariusza ruchu drogowego ze środka ulicy i umieszcza go na rogu chodnika i na wysokości, z której widzi nad głowami tłumu”. System pozwalał na ręczne przełączenie w tryb awaryjny na wypadek przejazdu wozu strażackiego. Operator zapalał też czerwone dla wszystkich wlotów, oczyszczał w ten sposób skrzyżowanie dając wolną drogę dla straży pożarnej.

W 1918 r. James Hoge otrzymał patent USA nr 1.251.666 za „miejski system sterowania ruchem drogowym”.

Trzy kolory

Jak dodaje Adam Sobieraj, specjalista od historii ruchu drogowego, sześć lat później wynalazek Hoge’a został udoskonalony – w Detroit powstała pierwsza „czterokierunkowa” sygnalizacja autorstwa policjanta Williama Pottsa, który z doświadczenia znał realia pracy na ulicy. W 1922 r. kolejny wynalazca – Garrett Morgan dodał do instalacji trzecie światło koloru bursztynowego, tego samego koloru, co na kolei. Stworzył tym samym w pełni automatyczną sygnalizację świetlną, którą z czasem zaczęły kontrolować automatyczne zegary.

Jego wynalazek miał nie tylko walor praktyczny, ale dał włodarzom miast olbrzymie oszczędności. Instalacja z Cleveland kosztowała miasto 1,5 tys. dolarów. Ale korzystanie z automatycznego zegara przyniosło rewolucję na skrzyżowaniach – zniknęli z nich policjanci. Miasta mogły przesunąć ich do innych obowiązków. Np. Nowy Jork w samym tylko 1923 r. zaoszczędził na tym 12 tys. 500 dolarów.



FOT. NAC

W Warszawie sygnalizacja pojawiła się w latach 20. Na zdjęciu z 1932 sygnalizacja na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich



FOT. CC

Cleveland. Pierwsza sygnalizacja świetlna na świecie

Genialny Morgan

Garrettowi Augustusowi Morganowi (1877-1963), faktycznemu twórcy znanego wszystkim do dziś sygnalizatora ulicznego, warto poświęcić kilka dodatkowych słów. Sygnalizator jego pomysłu składał się ze słupka w kształcie litery T, z ramionami jak w semaforze w trzech kolorach. Uzyskał nań stosowny patent i zarobił majątek: firma General Electric, odkupiła od niego wynalazek za imponujące 40 tys. dolarów.

Morgan był człowiekiem o wielkiej wyobraźni. Prócz sygnalizatora był także pomysłodawcą elektrycznego grzebienia do układania włosów, zestawu do nakładania farby na włosy oraz hełmu połączonego z maską przeciwgazową, który to zestaw znany był jako „Safety Hood and Smoke Protector”.

Urządzenie mogło budzić obawy: miało postać bawełnianego kaptura wyposażonego w dwa długie zwisające do ziemi węże umożliwiające oddychanie (w założeniach powietrze przy gruncie miało być mniej zanieczyszczone). W celu lepszego filtrowania powietrza w ich końce wtykane były wilgotne gąbki. Człowiek wyglądał w tej masce niczym Predator z filmów sf.

Elektronika i komputery

Wróćmy do motoryzacji. 1928 r. ilość aut w USA sięgnęła 24 mln. W tym samym roku w Baltimore zaprojektowano i wdrożono sygnalizację świetlną, która „reagowała” na ruch uliczny. Kierowcy niejako informowali światła o tym, że znajdują się przed nimi i czekają na możliwość przejazdu, dźwiękiem klaksonu samochodowego.

Pięć lat później pomyślano również o pieszych i również dla nich zainstalowano specjalne przyciski, które miały wpływ na tempo zmiany świateł. Kiedy w drugiej poł. XX w. pojawiły się pierwsze komputery, w Toronto wprowadzono pionierską sygnalizację sterowaną komputerowo. Późniejszy rozwój świateł szedł w parze z rozwojem elektroniki i tworzono coraz większe siatki sygnalizacji współdziałających ze sobą.

Ampelmännchen

Pierwsza sygnalizacja sterowana zegarem, czyli systemu Morgana, pojawiła się w Europie w Berlinie, na Placu Poczdamskim w grudniu 1924 r. Zainstalowana była na 8,5-metrowej tzw. wieży sterującej, zaprojektowanej przez architekta Jeana Krämera.

W jej wnętrzu znajdowało się stanowisko dla policjanta, który ręcznie zmieniał sygnały świetlne widoczne z pięciu stron skrzyżowania. Wieża została rozebrana w październiku 1937 r. podczas budowy metra. Dziś stoi tam jej replika.

Ale Niemcy mają inny też oryginalny wkład w historię sygnalizacji ulicznych. To tzw. Ampelmännchen („człowieczek ze świateł”), czyli antropomorficzna postać przedstawiona na sygnalizacji świetlnej dla pieszych. Zaprojektowana została w 1961 r. przez projektanta i psychologa transportu Karla Peglaua.

A w Polsce?

Nad Wisłą historia świateł drogowych ma swój początek już w roku 1926. Wówczas to właśnie na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej w Warszawie stanęło pierwsze urządzenie automatycznie kierujące ruchem (kolejne zainstalowano na rogu Złotej i Żelaznej). Do tej pory ruch na skrzyżowaniu regulował policjant stojący na środku jezdni lub w specjalnej budce. Światła miały tylko dwie barwy, trzecia została wprowadzona w 1934 r.

W 1967 r. na ul. Grójeckiej uruchomiono pierwszą sygnalizację wzbudzaną przez pieszych, zaś dwa lata później powstał pierwszy polski system skoordynowanego sterowania sygnalizacją. W 1974 r. wprowadzono w Polsce pierwszą w pełni akomodacyjną tzw. sygnalizację wielofazową, umożliwiającą sterowania ruchem na skrzyżowaniach.

eprasa.pl f0a4de73b8

HISTORIA SPORTU

Chłopaki do wielkiej gry, tańca i różańca. Drużyna Wagnera – mistrzowie olimpijscy

Jaka fajna drużyna pokonała „Ruskich" i zdobyła mistrzostwo olimpijskie w siatkówce. Przez pół wieku żaden nasz zespół nie powtórzył tego sukcesu

Marek Bluj



FOT. ARCHIWUM MARKA KARBARZA

Radość po pokonaniu Rosjan i zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku. W koszulce z numerem 12 Marek Karbarz

Tej lipcowej nocy z 30 na 31 lipca 1976 roku nie spały miliony Polaków. Prawie każdy chciał zobaczyć, jak nasi siatkarze w dalekim Montrealu w finale turnieju olimpijskiego pokonają Związek Radziecki. Gwarancji nie było żadnych, bo Rosjanie grali świetnie, ale nasi jeszcze lepiej. No i trener Hubert Wagner obiecał, że wrócą do kraju ze złotem. Zrobili to!

To był długi mecz, bardzo długi. Zresztą takiego tasiemca wszyscy, tam w Kanadzie i w kraju, się spodziewali. Zaczął się o 2.30. Trwał 2 godziny i 26 minut.

– Dla nas to była pestka. Byliśmy tak napakowani siłą i energią, że mogliśmy grać nawet dwa takie mecze jeden po drugim. Dla nas granie przez dwie, trzy, a nawet cztery godziny nie robiło żadnej różnicy. Trener Hubert Wagner doskonale nas przygotował. Treningi trwały po kilka miesięcy. Było dużo gór. Schodziliśmy całe Tatry, przed Meksykiem byliśmy w Pirenejach. Dużo ćwiczyliśmy z ciężarami. Mówiono o nas mistrzowie piątego seta, bo nigdy nie przegraliśmy tie-breaka. Inne drużyny ciągnęły ostatkiem sił, a my zawsze tryskaliśmy świeżością. W finale i wcześniej mieliśmy też trochę szczęścia, dlatego zawsze powtarzam, że trzeba dobrze grać, ale trzeba mieć też szczęście. To z reguły sprzyja lepszym. Myśmy go mieli – uśmiecha się Marek Karbarz, jeden z trzech muszkieterów z Resovii w „12" trenera Wagnera. Dwaj inni to Bronisław Bebel i Włodzimierz Stefański.

To była złota drużyna, która nikogo się nie bała. Dwa lata wcześniej w Meksyku, 28 października 1974 roku, także prowadzona przez Wagnera reprezentacja Polski zdobyła historyczne złoto mistrzostwo świata. Wygrała wszystkie spotkania. W drodze po mistrzostwo dwukrotnie pokonała ZSRR. Tworzyła team na 102. Pod każdym względem.

– Rosjanie w Montrealu pałali chęcią rewanżu za Meksyk. Można powiedzieć, że igrzyska olimpijskie były pewnego rodzaju ciągiem dalszym Meksyku. W kadrze nastąpiły małe zmiany, nie było Staszka Gościniaka, MVP mistrzostw świata,co było dla nas szokiem. Atmosfera w kadrze była jednak bardzo dobra. Lubiliśmy się nawzajem, dobrze się ze sobą czuliśmy. Był duch w tej ekipie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To nam pomagało w trudnych chwilach, a trochę było ich – dodaje Karbarz.

Zanim w olimpijskim finale doszło do polsko-rosyjskiego starcia, nasi siatkarze bywali w wielkich opałach. – W pierwszym meczu turnieju przegrywaliśmy z Koreą Południową 0:2 w setach, ale od trzeciego zmietliśmy ich z boiska. Z Kubą też wynik był widelcu, bo przeciwnik wygrywał 2:0. Wyrównaliśmy, a w piątej partii zwyciężyliśmy 20:18. Z Japonią było 3;2, ale w tie-breaku już bez nerwów. Było ich za to na pęczki z Rosjanami w finale. Zachowaliśmy olimpijski spokój i wyszliśmy z ogromnych opresji obronną ręką – wspomina mistrz Marek, jak mówią do Karbarza znajomi.

Rzeczywiście, to była bitwa na siatce, niezwykle dramatyczny pojedynek, który przeszedł do historii polskiego sportu. Radziecki zespół prowadził w setach 2:1, a w czwartym miał dwa meczbole. Polacy uciekli jednak spod topora, wyrównali na 2:2. W decydującej piątej odsłonie przegrywali 0:4, ale szybko odrobili straty. Po zmianie stron prowadzili 8:7 i nie dali już przeciwnikom zdobyć punktu. Zwycięski okazał się autowy atak rosyjskiej gwiazdy Władimira Czernyszowa.

„Uwaga, Czernyszow! I aut! Aut, nie było bloku!" – krzyczał do mikrofonu komentujący mecz Wojciech Zieliński. Polacy skakali z radości, a Czernyszow stał i patrzył na ich radość. Był w szoku – nie mógł chyba uwierzyć, że przestrzelił taką piłkę na czystej siatce. Tak się stała historia. Niektórym zawodnikom polały się z oczu łzy radości i szczęścia. Mocno zapracowali wspólnie na ten sukces.

– To był zespół, każdemu zawodnikowi należy się szacunek. Ja bez Marka i Marek beze mnie nic byśmy nie wygrali – mówił Tomasz Wójtowicz, prawdziwy as złotej ekipy.

– Tomek cały turniej grał znakomicie i wyskoczył na gwiazdę, ale całe towarzystwo trzymał Edek Skorek, kapitan drużyny. Praktycznie nie musiał trzymać, bo było normalnie, fajnie, nikt się na nikogo ani na nic nie skarżył – wyjaśnia Karbarz.

– Byliście znakomitymi siatkarzami, tworzyliście najlepszą w świecie drużynę, a jakimi byliście ludźmi? – pytam mojego rozmówcę.

- To były przepiękne dni i lata. Wspominam je z ogromnym sentymentem. Byliśmy młodzi, mieliśmy wtedy po dwadzieścia cztery lata. Potrzebowaliśmy się też trochę wyszumieć. Lubiliśmy się zabawić. Przychodziły nam do głowy rozmaite pomysły. Byliśmy chłopakami do tańca i do różańca. Po zakończeniu igrzysk w Montrealu było raczej spokojnie, ale po mistrzostwie świata w Meksyku był trochę „meksyk" – wspomina nasz mistrz świata i mistrz olimpijski.

– Kiedy po ceremonii medalowej przyjechaliśmy do hotelu, w którym byli Japończycy i inne reprezentacje, to daliśmy czadu. Były śpiewy, tańce, hulanki, swawola. W barze nie została an jedna butelka alkoholu. Kiedy na drugi dzień siedzieliśmy w autokarze przed wyjazdem na lotnisko, przybiegł dyrektor hotelu i machał rachunkiem na kilka tysięcy dolarów. Kierownik naszej grupy wziął do ręki ten rachunek i stwierdził stanowczym głosem, że „to jest absolutnie niemożliwe, bo moi chłopcy piją tylko mleko". I odjechaliśmy. Z tego, co mi wiadomo, należność za tę „gościnę" uregulowała za nas Federacja Siatkówki Meksyku – przypomina tę słynną historię Marek Karbarz.

Po Montrealu Karbarz otrzymał talon na Zastavę. Kupił ją za własne pieniądze. Inni dostali talony na Polonezy i Moskwicze, ale z Zastavy był zadowolony – jeździł nią kilka lat.

– Ten złoty medal zdobyty w Montrealu miał ogromny wpływ na moje życie. Długi czas nie zdawałem sobie nawet z tego sprawy. Dzięki niemu wyjechałem do Francji. Byłem tam prawie 20 lat, najpierw jako zawodnik, a później trener – podkreśla Karbarz.

– Szczerze przyznam, że nie spodziewałem się, że tak długo będziemy honorowani, pamiętani, że co roku będziemy się spotykali na Memoriale Jurka Wagnera i nie tylko. Mamy swoją Aleję Gwiazd w Miliczu. Bardzo sympatyczne jest to, że ludzie nas kojarzą. W sklepie, na ulicy, w hali zapytają o zdrowie, zagadną, co słychać.

– Jak ten czas pędzi! To już 50 lat od Montrealu i tamtego złota. Mieliśmy świetnych siatkarzy, drużyny, trenerów, ale żadnej do tej pory nie udało się powtórzyć tamtego sukcesu sprzed pół wieku. To tylko świadczy o tym, jak trudno zdobyć złoty medal. Od Meksyku i Montrealu siatkówka w Polsce stała się bardzo popularna. Polacy ją pokochali i kochają nadal. Cierpliwie czekają, ja zresztą też, na olimpijskie złoto numer 2. Niech się to stanie już na najbliższych igrzyskach – tym życzeniem kończy swoją nie tylko olimpijską opowieść pan Marek.

©℗

Skład drużyny siatkarzy na IO w Montrealu:

Włodzimierz Stefański, Bronisław Bebel, Lech Łasko, Edward Skorek, Tomasz Wójtowicz, Wiesław Gawłowski, Mirosław Rybaczewski, Zbigniew Lubiejewski, Ryszard Bosek, Włodzimierz Sadalski, Zbigniew Zarzycki, Marek Karbarz.
Trener: Hubert Jerzy Wagner.

Wyniki reprezentacji Polski w turnieju olimpijskim w Montrealu:

Faza grupowa:
Polska – Korea Południowa 3:2 (12:15, 6:15, 15:6, 15:6, 15:5);
Polska – Kanada 3:0 (15:4, 15:7, 15:6);
Polska – Kuba 3:2 (13:15, 10:15, 15:6, 15:9, 20:18);
Polska – Czechosłowacja 3:1 (8:15, 15:11, 15:5, 16:14);
półfinał: Polska – Japonia 3:2 (15:17, 15:6, 15:6, 10:15, 15:10);
finał: Polska – ZSRR 3:2 (11:15, 15:13, 12:15, 19:17, 15:7).

eprasa.pl f0a4de73b8

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Biggersie** Zbliża się rocznica urodzin Earla Derra Biggersa (24 sierpnia 1884-5 kwietnia 1933) – amerykańskiego autora powieści o detektywie chińskiego pochodzenia Charliem Chanie, wzorowanymna policjancie z Honolulu – Changu Apanie.

HISTORIA

Oleg Gordijewski jako sowiecki szpieg niemal doskonały

Bożenna Piskała

Jako wysoki oficer KGB Oleg Gordijewski (1938-2025) przekazywał Brytyjczykom najbardziej poufne informacje. Po latach największy tajny agent swojego pokolenia uchylił nieco historię swej ucieczki na Zachód.

Ciepły lipcowy wieczór 1985 r. Mężczyzna w średnim wieku stoi na chodniku biegnącego w samym sercu Moskwy Prospektu Kutuzowskiego. W szarym garniturze i krawacie niczym nie wyróżnia się od innych. Może tylko jego torba za bardzo rzuca się w oczy. Widnieje na niej logo brytyjskiego supermarketu Safeway. Mężczyzna jest agentem – pułkownikiem KGB. Już od ponad dekady nieprzerwanie dostarcza Brytyjczykom tajne informacje z samego wnętrza radzieckiej machiny wywiadowczej.

Bez planu ucieczki

Fragment chodnika, gdzie stoi, nazywa się w żargonie szpiegowskim miejscem sygnalizacyjnym. Od lat dokładnie obserwuje je MI6, wiedząc, że kiedyś musi nadejść chwila działania. Plastikowa torba z napisem Safeway oznacza, że radziecka służba zidentyfikowało kreta w swoich szeregach. Teraz musi uciec.

W pewnym momencie obok przechodzi młodszy mężczyzna bez marynarki. Sądząc po ubraniu – cudzoziemiec. W jednej ręce ma zieloną torbę od Harrodsa, w drugiej – baton Mars. To oficer MI6 pracujący jako dyplomata w brytyjskiej ambasadzie w Moskwie. Stojący na chodniku mężczyzna wie: „Odebraliśmy sygnał, plan ucieczki wdrożony.

W 2015 r., w wieku 77 lat, Oleg Antonowicz Gordijewski przypomniał w wywiadzie dla „Timesa" tę noc, gdy jego życie wisiało na plastikowej torbie Safeway i batonie Mars. „Gdyby plan ucieczki nie wypalił, musiałbym się poddać" – mówił „Timesowi".

Antykomunista

Gordijewski był ideałem radzieckiego agenta. Niezwykle inteligentny i ambitny syn oficera KGB, świetny sportowiec i szczerze oddany członek Komsomołu. Po ukończeniu w 1963 r. studiów w moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych podążył śladem starszego brata i wstąpił do służb.



Po ukończeniu w 1962 r. MISM-u Gordijewski wstąpił do KGB. Pracował w centrali na Łubiance, a w styczniu 1966 r. wysłano go do Kopenhagi, gdzie miał kierować siatką wywiadowczą w Danii

Jednak już od pierwszych dni w Gordijewskim tliła się iskierka buntu. Zaczął szpiegować dla Brytyjczyków z powodu osobistej awersji do radzieckiego systemu. Był człowiekiem wykształconym, miłośnikiem klasycznej literatury i muzyki. Postrzegał radziecki reżim jako zbrodniczy.

Telefony do żony

Punkt zwrotny nastąpił w 1968 r., gdy radzieckie czołgi wtaczały się do Czechosłowacji. Wiedząc, że znajdująca się w holu ambasady radzieckiej budka telefoniczna ma podsłuch założony przez duński kontrwywiad (PET – Politiets Efterretningstjeneste) dzwonił do żony i wygłaszał tyrady skierowane przeciw radzieckim władzom. W ten sposób wysyłał sygnał zachodniemu wywiadowi. Jednak na odpowiedź musiał czekać aż pięć lat. Zdążył wrócić do Moskwy, gdzie zaczął pracę w centrali KGB. Nie na długo – w 1972 r. znowu wysłano go do Kopenhagi. Tym razem jednak zajmował się „linią polityczną" KGB, czyli po prostu rekrutacją i prowadzeniem agentów.

Szpieg w akcji

PET, która ściśle współpracowała z MI6, wskazała go Brytyjczykom jako ewentualnego kandydata do zwerbowania. W 1973 r. ci wykonali pierwszy ruch. Na korcie do badmintona, gdzie Gordijewski codziennie rano grywał, zjawił się niezapowiedziany brytyjski dyplomata. Zaczęło się subtelne i ciche uwodzenie. Dyplomata, czyli oficer MI6, przyznawał później, że nie był pewien, czy to on rekrutuje Rosjanina, czy odwrotnie. Ale przez następne trzy lata Rosjanin przekazał Brytyjczykom mnóstwo informacji wywiadowczych.

W 1978 r. Gordijewski skończył pracę w stolicy Danii. W styczniu 1982 r. do Londynu nadeszło podanie o przyznanie wizy podpisane przez... Olega Gordijewskiego, nowego doradcę ambasady radzieckiej w Wielkiej Brytanii. Miał mieszkać i szpiegować kraj, z którym związał się więzami lojalności. Oleg Gordijewski z rodziną przybył do Wielkiej Brytanii 28 czerwca 1982 r. Już kilka dni później – zgodnie z otrzymanymi instrukcjami – udał się do hotelu Holliday Inn przy Sloane Street.

Radzieckim agentem zajmowała się w MI6 bardzo wąska grupa wtajemniczonych. Co tydzień Gordijewski informował swoich kolegów – oficerów KGB, że udaje się na lunch, a po cichu jeździł do mieszkania w Bayswater. Po przekazaniu ukrywanych dokumentów i mikrofilmów odbywał intensywną odprawę z mówiącym po rosyjsku oficerem.

Kto jest kretem?

Cofnijmy się do owej nocy 1985 r., gdy Gordijewski, przebywając w Moskwie, bał się aresztowania. Jak miał być wtedy przerzucony na Zachód? Zacznijmy od tego, że Gordijewskiego nie zdradzili jego wrogowie w Moskwie, lecz przyjaciele. Przypadkowo. Od 1974 r. Amerykanom przekazywano wybrany przegląd najważniejszych informacji. Nic, co bezpośrednio mogłoby zdradzić tożsamość źródła, ale widocznie wystarczająco dużo, by CIA doszła do wniosku, że Brytyjczycy muszą mieć wysoko postawionego kreta w samym KGB.

W Langley wyjaśnienie sprawy zlecono szefowi kontrwywiadu wydziału CIA ds. ZSRR i wschodniej Europy Aldrichowi Amesowi. Ten szczegółowo przeanalizował każdy fragment otrzymywanych informacji i porównał z tym, co Amerykanie wiedzieli o znanych im oficerach KGB. Stopniowo zacieśniał krąg „podejrzanych". W marcu był już pewien, że zidentyfikował właściwego człowieka – Olega Gordijewskiego.

Poinformował przełożonych i nagle we wszystkich centralach szpiegowskich powstało zamieszanie. 16 maja 1985 r. Gordijewski otrzymał w Londynie pilną instrukcję z moskiewskiej centrali: „Aby potwierdzić waszą nominację jako rezydenta, proszę o pilny powrót do Moskwy".

Operacja „Pimlico"

W tym momencie KGB wykonało krok, którego przesłanek nigdy dokładnie nie wyjaśniono – Gordijewskiego puszczono wolno. Zamiast kolejnych przesłuchań, tortur i w końcu egzekucji postanowiono tylko śledzić jego kroki. Był wolny, ale znajdował się pod 24-godzinnym nadzorem. Dlaczego? Jedyne wyjaśnienie brzmi – posłużono się nim jako przynętą.

KGB wyraźnie miało nadzieję, że teraz będzie próbował kontaktować się z MI6. We wtorek 16 czerwca Gordijewski wypchał torbę z napisem Safeway pomiętymi gazetami. Po kontakcie z agentem brytyjskim na Prospekcie Kutuzowskim rozpoczęła się operacja „Pimlico".

Kierunek: Leningrad

Moskiewska placówka MI6 przystąpiła do działania. Improwizowany plan przewidywał możliwość, że do Finlandii trzeba będzie bezpiecznie przewieźć nawet cztery osoby – Gordijewskiego, jego żonę oraz ich dwie córki. Mieli być ukryci w bagażnikach dwóch aut, kierowanych przez dwóch oficerów MI6. Do spotkania miało dojść w ściśle ograniczonej strefie granicznej, w której roiło się od radzieckich służb i policji. Powitanie w punkcie „X" było błyskawiczne. Zostali schowani do bagażników. Wręczono im butelki z wodą, plastikowe pojemniki, do którego mieli oddawać mocz i tabletki uspokajające.

Gordijewski wspominał, że podróż była koszmarem. Do jego uszu docierały głosy radzieckich celników. Auto ruszało i wielokrotnie stawało. Nikt niem mówił ani słowa. W pewnym momencie Gordijewski usłyszał muzykę – pierwsze takty poematu symfonicznego „Finlandia" Johana Sibeliusa niosły przesłanie: „Gordijewscy są już w Finlandii. Wolni".

eprasa.pl f0a4de73b8

PIŁKA NOŻNA

Damian Łukasik: Na skróty to uda się raz na dziesięć

Rozmawiamy z Damianem Łukasikiem, legendą Lecha Poznań, z którym zdobył 4 tytuły mistrza Polski i 2 razy wygrał Puchar Polski. Uczestniczył też w europejskich pucharach, w tym słynnych bojach z Barceloną w sezonie 1988/89.

Rozmawiał Jaromir Kruk

Wówczas Kolejorz odpadł po karnych z dream teamem Johanna Cruyffa, tak jak teraz w eliminacjach Ligi Mistrzów z AGF Aarhus. Choć wydawało się to niemożliwe po wygranej Kolejorza w Danii 4:1...

Brałeś pod uwagę odpadnięcie Lecha po wysokim zwycięstwie na wyjeździe?

Po losowaniu Aarhus uważano za bardzo trudnego rywala i na pewno patrząc na wynik pierwszego meczu panował ogromny optymizm. W rewanżu doszło – delikatnie mówiąc – do sporej niespodzianki, ale chłodno to analizując, można dojść do wniosku, że szwankowało przygotowanie fizyczne, mentalne, założenia taktyczne. Pod każdym względem to spotkanie nie wyszło Lechowi. Co z tego, że ktoś przebiegnie 15 kilometrów, chodzi o to, na jakiej intensywności tego dokonał. Widać było problemy przy doskoku, którego brakowało, w dynamice. W ekstraklasie piłkarze dostają więcej miejsca i nam się wydaje, że niektórzy są wirtuozami, ale gdy dochodzi do poważnego wyzwania w pucharach – giną.

Może nad Lechem ciąży jakieś fatum?

Trzeba się dokładnie przyjrzeć poczynaniom Lecha w tym nieszczęsnym spotkaniu. Reakcje zawodników, zamykanie przestrzeni, odbiór piłki, szybki doskok, po którym w lidze Lech przechodzi do kontry, zejście niżej – wszystko szwankowało i nie pozostało bez wpływu na wynik. Możemy tylko sobie zadawać pytania, dlaczego tak się stało.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Łukasik: – Mamy kibiców na poziomie Ligi Mistrzów, super stadiony, ale poziom sportowy pozostaje daleko

Dlaczego w historii Lecha było zbyt wiele takich wpadek?

Nie mam pojęcia. Po zwycięstwie w Danii wiedzieliśmy, że awans jest blisko, bardzo blisko. W Poznaniu Lech sprawiał wrażenie zaskoczonego pierwszym straconym golem, drugim i nie był w stanie przetrwać tego, co się działo. Presja kibiców ciążyła? Nie ma co szukać takich usprawiedliwień. Ściągasz zawodników za grubą kasę, za miliony euro to muszą wykorzystywać sytuacje, muszą umieć przyjmować piłkę. Może my wymagamy od niektórych zbyt dużo, a jak się pojawia poważne wyzwanie na arenie międzynarodowej, nie są w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności. Sposób tracenia bramek przez Lecha był niesamowity. Przy jednej z nich piłkarz, którym zachwycano się po pierwszym meczu – Terry Yegbe wraz z Mikaelem Ishakiem biernie przyglądał się temu, co wyprawia Aarhus. Tak się nie da wywalczyć Ligi Mistrzów.

Lechowi brakuje charakteru?

Charakter, legendy o nim tworzą wyniki. Pamiętajmy, że Lech dziś to wielojęzyczna ekipa, a psychika każdego piłkarza jest inna. W ekstraklasie gra się łatwiej niż w Europie, a rywalizacja na polskich boiskach zaciemnia obraz. Wynika z tego, że na tle lepszych zespołów brakuje nam kompetencji technicznych. Zastanawiam się nad przyczyną takiego stanu, przecież w Norwegii są gorsze warunki do trenowania, grania, a takie Bodo Glimt pokazało się w Lidze Mistrzów w poprzednim sezonie ze znakomitej strony, choćby eliminując Inter Mediolan. My się ekscytowaliśmy ćwierćfinałami Ligi Konferencji naszych klubów, ale w sezonie 2025/26 żaden już nie przebił się na ten etap. Radujemy się, gdy sprzedamy piłkarza za 4-5 milionów euro, a inni biorą 30-40 milionów. Nasza ekstraklasa jest przeszacowana, mamy kibiców na poziomie Ligi Mistrzów, super stadiony, ale poziom sportowy pozostaje daleko z tyłu, mentalność pozostawia wiele do życzenia. Nad tą mentalnością głowimy się, lecz jeszcze nic nie wynaleźliśmy.

Tylko dwóch Polaków zagrało w rewanżu Górnika Zabrze z Fenerbahce. Lepszą mentalność od naszych piłkarzy mają sprowadzeni z niższych lig niemieckich?

Górnik zagrał dobrze, ale odpadł z Fenerbahce w eliminacjach Ligi Mistrzów. Rzeczywiście ta mentalność niemiecka w piłce różni się od polskiej, ale... na mundialu nasi zachodni sąsiedzi się skompromitowali. Boli mnie, że mało Polaków gra w Górniku, z kolei, że w Lechu Polacy nie potrafili pociągnąć drużyny w najtrudniejszych momentach rewanżu z Aarhus. Problemem naszej piłki jest to, że my chcemy osiągać sukcesy, cele na skróty. Może raz na dziesięć się tak uda, ale potem znów się gubimy. W tym gubieniu uzyskaliśmy już powtarzalność. Na pewno nasza piłka ma spory potencjał, ale od lat nie umiemy tego wykorzystać. Niby wiemy, jak coś robić, lecz tego nie robimy, mam na myśli przede wszystkim szkolenie.

Dalej jednak w pucharach będzie grało pięć polskich zespołów. Raków i GKS Katowice zrobiły to, co miały zrobić?

Nie wyobrażałem sobie, że Raków odpadnie z rywalem z Malty, częstochowianie polecieli tam i wysoko wygrali. To ustabilizowana drużyna na arenie międzynarodowej, ale klubowi brakuje normalnego stadionu, co hamuje jego rozwój. GKS w rewanżu zagrał bardzo ambitnie, z charakterem i przysłonił nieco braków jakościowych. Pomogli kibice, stworzyli w Katowicach kapitalną atmosferę, ale od polskich klubów należy wymagać zwycięstw ze słowackimi. Tak jak mówiłem – wszyscy w naszej piłce powinni gonić poziomem fanów, dla których przyjemnością jest grać. Co do Lecha to najbardziej żal kibiców, ale wierzę, że w końcu kiedyś Poznań doczeka się Ligi Mistrzów.

PIŁKA NOŻNA

Dobre wieści przed losowaniem potencjalnych rywali polskich zespołów

Jakub Jabłoński

Na jakich rywali mogą trafić reprezentanci polskiego futbolu w przypadku awansu w europejskich pucharach? Losowanie IV rundy eliminacji odbędzie się dziś o godz. 13.00 i 14.00.

Nie mamy już żadnego przedstawiciela w kwalifikacjach Ligi Mistrzów. Lech Poznań i Górnik Zabrze nie sprostali zadaniu w II rundzie eliminacyjnej i spadli o szczebel niżej. W przedbiegach Ligi Europy dołączy do nich Jagiellonia Białystok, czyli brązowy medalista PKO Ekstraklasy.

Lech i Górnik odpadli odpowiednio z duńskim Aarhus GF oraz tureckim Fenerbahce. O ile do postawy wicemistrzów Polski z Zabrza trudno mieć większe zastrzeżenia, o tyle w przypadku ekipy ze stolicy Wielkopolski należy wręcz mówić o ogromnej kompromitacji i kolejnej czarnej karcie w historii klubu.

Lech zagra teraz w III rundzie eliminacji Ligi Europy z KI Klaksvik z Wysp Owczych i ponownie będzie murowanym faworytem dwumeczu. Górnikowi przypadł natomiast wymagający rywal – Ferencváros Budapeszt. Oba polskie zespoły w przypadku awansu do decydującej rundy będą mogły liczyć na rozstawienie.

Do gry wkroczy też – wreszcie – Jagiellonia. Podopieczni Adriana Siemieńca nie będą faworytem starcia z Rangers FC, ale w przypadku sprawienia niespodzianki również znajdą się w uprzywilejowanej pozycji.

Lech, Górnik i Jagiellonia poznają potencjalnych rywali w IV rundzie eliminacji Ligi Europy dziś o godz. 13.00. Wśród możliwych przeciwników znajdują się Trabzonspor (Turcja), Sint-Truiden (Belgia), Hapoel Beer Szewa (Izrael) czy Kajrat Ałmaty (Kazachstan).

Gorzej wygląda sytuacja w przypadku spadku do eliminacji Ligi Konferencji. Lech jako ekipa ze ścieżki mistrzowskiej nie będzie mógł wtedy liczyć na rozstawienie w IV rundzie. W gronie potencjalnych rywali znajdują się jednak Drita (Kosowo), Lincoln Red Imps (Gibraltar) czy KuPS Kuopio (Finlandia).

Losowanie IV rundy eliminacji Ligi Konferencji rozpocznie się o godz. 14.00. Jagiellonia wie, że gdyby przyszło jej występować w tych rozgrywkach, nie trafi na Hearts, Hibernian ani Motherwell. Na drodze Górnika nie stanęłaby natomiast FC Kopenhaga.

GKS Katowice po pokonaniu Hapoelu Tel Awiw nie będzie rozstawiony, natomiast Raków Częstochowa – jeśli poradzi sobie z Hammarby w 3. rundzie eliminacji – znajdzie się w gronie drużyn uprzywilejowanych.

eprasa.pl f0a4de73b8

ŻUŻEL

Łódzki debiut udany dla rywali. Jeden Polak na podium

W zawodach na „Moto Arena Łódź" wystartowało pięciu naszych. W klasyfikacji generalnej mamy teraz dwóch liderów, w tym Polaka

Paweł Wiśniewski

W siódmej rundzie żużlowego cyklu Grand Prix, która – po raz pierwszy w historii – odbyła się na torze w Łodzi, Patryk Dudek zajął drugie miejsce, a do finału nie awansował niestety Bartosz Zmarzlik.

Kolejna impreza z cyklu GP odbędzie się 8 sierpnia w Rydze.



FOT. AUTOR

Podium w Łodzi – od lewej: Patryk Dudek, Robert Lambert i Brady Kurtz

GRAND PRIX POLSKI:

1. Robert Lambert (W. Brytania) - 13+3 (1,2,3,2,2,3) - 20 pkt GP; 2. Patryk Dudek (Polska) - 15 (3,3,3,1,3,2) - 18; 3. Brady Kurtz (Australia) - 13 (1,2,3,3,3,1) - 16; 4. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 7+3 (0,3,2,1,1,0) - 14; 5. Jan Kvech (Czechy) - 10+2 (3,3,1,0,3) - 12; 6. Bartosz Zmarzlik (Polska) - 8+2 (1,0,2,3,2) - 11; 7. Leon Madsen (Dania) - 8+1 (2,0,2,2,2) - 10; 8. Kacper Woryna (Polska) - 7+1 (2,2,w,0,3) - 9; 9. Max Fricke - 11+0 (3,3,3,2,0) - 8; 10. Jason Doyle (obaj Australia) - 7+0 (2,1,1,3,0) - 7; 11. Piotr Pawlicki (Polska) - 6 (0,1,1,3,1) - 6; 12. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 6 (2,2,0,1,1) - 5; 13. Anders Thomsen (Dania) - 5 (3,0,2,0,0) - 4; 14. Dominik Kubera (Polska) - 5 (1,1,1,0,2) - 3; 15. Kai Huckenbeck (Niemcy) - 3 (0,1,0,1,1) - 2; 16. Nazar Parnicki (Ukraina) - 2 (0,0,0,2,0) - 1; 17. Marcin Nowak - ns; 18. Szymon Szlauderbach (obaj Polska) - ns.

Bieg po biegu:

1. (61,94) Thomsen, Madsen, Zmarzlik, Parnicki
2. (61,17) Fricke, Lebiediew, Lambert, Pawlicki
3. (61,07) Kvech, Doyle, Kubera, Jepsen Jensen
4. (61,05) Dudek, Woryna, Kurtz, Huckenbeck
5. (61,37) Dudek, Lambert, Doyle, Madsen
6. (61,09) Jepsen Jensen, Lebiediew, Huckenbeck, Zmarzlik
7. (61,28) Kvech, Woryna, Pawlicki, Thomsen
8. (61,05) Fricke, Kurtz, Kubera, Parnicki
9. (62,19) Kurtz, Madsen, Kvech, Lebiediew
10. (60,89) Lambert, Zmarzlik, Kubera, Woryna (w/su)
11. (61,26) Fricke, Thomsen, Doyle, Huckenbeck
12. (61,03) Dudek, Jepsen Jensen, Pawlicki, Parnicki
13. (62,14) Pawlicki, Madsen, Huckenbeck, Kubera
14. (61,92) Zmarzlik, Fricke, Dudek, Kvech
15. (61,15) Kurtz, Lambert, Jepsen Jensen, Thomsen
16. (61,55) Doyle, Parnicki, Lebiediew, Woryna
17. (61,10) Woryna, Madsen, Jepsen Jensen, Fricke
18. (60,87) Kurtz, Zmarzlik, Pawlicki, Doyle
19. (61,29) Dudek, Kubera, Lebiediew, Thomsen
20. (60,85) Kvech, Lambert, Huckenbeck, Parnicki

Półfinały:

21. (60,90) Jepsen Jensen, Zmarzlik, Woryna, Fricke
22. (60,51) Lambert, Kvech, Madsen, Doyle

Finał:

23. (61,38) Lambert, Dudek, Kurtz, Jepsen Jensen

Sędzia: Aleksander Latosiński (Ukraina)
Frekwencja: 10 350 widzów (komplet)
Najlepszy czas dnia: 60,51 sek. - uzyskał Robert Lambert w biegu 22.

KLASYFIKACJA GENERALNA GP

1. Kurtz - 109 pkt; 2. Zmarzlik - 109; 3. Lambert - 101; 4. Jensen - 80; 5. Dudek - 68; 6. Madsen - 65, 7. Woryna - 64; 8. Fricke - 62; 9. Jack Holder (Australia) - 55; 10. Thomsen - 54... 14. Kubera - 31; 19. Maciej Janowski (Polska) - 11; 22. Pawlicki - 6; 25. Marcel Kowolik (Polska) - 1; 33. Nikodem Mikołajczyk (Polska) - 0.

ZAMIAST FELIETONU – „KRÓTKA PIŁKA"

ADAM GODLEWSKI
szef sportu w Polska Press



To miał być przełomowy sezon dla Kolejorza, a udało się zadrwić nawet z prawa Murphy'ego

Wedle tzw. prawa Murphy'ego „jeśli coś może pójść źle, to na pewno pójdzie źle". Tymczasem Lech potrafił spaprać w rewanżu z Aarhus nawet to, co nie miało prawa potoczyć się nie po myśli. Nikt bowiem wcześniej w rywalizacji o Champions League nie zaprzepaścił trzybramkowej przewagi wywalczonej na terenie rywala. Zatem awans był nawet nie na wyciągnięcie ręki, był po prostu jak w banku; trzeba było jedynie postawić kropkę nad i.

Z jakiegoś powodu Kolejorz przystąpił jednak do rewanżu tylko teoretycznie. Galowy garnitur poznańskich piłkarzy nie zabrał na boisko przy Bułgarskiej mapy ani pomysłu. Kolejorze nie wiedzieli, co chcą grać, a nawet jak powinni bronić. Mental został w szatni, fizycznie także nie dojechali na rewanż; zawodnikom brakowało przede wszystkim szybkości i dynamicznego doskoku. A trenera nie było...

To znaczy Niels Frederiksen siedział w boksie Lechitów, nawet krzyczał znacznie więcej niż – jako typowy zimny Skandynaw – ma w zwyczaju. Tyle tylko, że nie stać go było na żadną merytoryczną podpowiedź; tym razem jedynie bezproduktywnie się miotał. Dwa razy miał szansę na obronę wyniku dającego awans – przy stanie 0:2 i 1:3 w dogrywce – ale z żadnej z tych okazji nie skrzystał. Nie zmienił taktyki, ustawienia, personaliów, nie zagrał tak jak klasowy zespół powalczyłby o być albo nie być. Zamiast szkoleniowca, który kieruje się zdrowym rozsądkiem i chłodną kalkulacją, za linią boczną w Lechu rozpanoszyła się pomroczność jasna. Inaczej naprawdę trudno wytłumaczyć brak planu B na rewanż z Aarhus.

Kolejorz niejednokrotnie przerabiał prawo Murphy'ego w Europie, ale nadal nie wyciągnął wniosków, czego efektem oklep bez precedensu z minionej środy. 200-milionowy tegoroczny budżet nie wziął się jednak z przypadku – finansowo klub z Bułgarskiej jest prowadzony wzorowo. Problem w tym, że pieniądze w piłkę nie grają...

Do Frederiksena przylgnie teraz łatka wyjątkowego przegrywa, rewanż z Aarhus przerósł Duńczyka na kilku poziomach. Czy z takim trenerem – który za grosz nie ma fartu i nie umie szczęściu pomóc – można budować przyszłość?

SIATKÓWKA

Polska po raz trzeci wygrywa Ligę Narodów. Tomasz Fornal najlepszy z najlepszych – MVP

Paweł Wiśniewski

Polska triumfatorem tegorocznej edycji siatkarskiej Ligi Narodów. W wielkim finale, którego gospodarzem była hala „Beilun Gymnasium" w chińskim Ningbo, nasi zawodnicy pokonali Amerykanów 3:2 (25:21, 23:25, 25:27, 25:23, 15:10).

Dla Polaków to już trzecie zwycięstwo w prestiżowych rozgrywkach Ligi Narodów. Triumfowali w ubiegłym roku, a trzy lata temu w Gdańsku w spotkaniu o złoty medal pokonali właśnie ekipę Stanów Zjednoczonych 3:1.

Amerykanie z kolei przegrali wszystkie cztery finały, w których wystąpili.

W sumie Biało-Czerwoni siedem razy stawali już na podium Ligi Narodów: wywalczyli trzy złote (2023, 2025, 2026), srebrny (2021) oraz trzy brązowe medale (2019, 2022, 2024).

W obecnej edycji „FIVB Men's Volleyball Nations League" oba zespoły spotkały się w ostatnim meczu fazy zasadniczej w Chicago. Wówczas lepsi również okazali się podopieczni Nikoli Grbicia, wygrywając jednak 3:0 (25:20, 25:21, 25:19).

Trzecie miejsce zajęli siatkarze Słowenii po wygranej z Japonią 3:1 (25:21, 26:28, 25:22, 25:22). Nik Mujanović i spółka po raz pierwszy stanęli na podium Ligi Narodów. Trzykrotnie przegrali mecz o 3. miejsce: w 2021, 2024 i 2025 roku.

Japonia natomiast po raz pierwszy zajęła czwartą pozycję. W 2023 roku była trzecia, a w 2024 roku druga.

W tegorocznej Lidze Narodów uczestniczyło 18 reprezentacji.

Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej (FIVB) organizuje te rozgrywki od 2018 roku.

W tegorocznej edycji Ligi Narodów Polski Związek Piłki Siatkowej może liczyć na wypłatę:

Faza grupowa:
10 zwycięstw = 95 000 USD;
2 porażki = 8500 USD;
razem: 103 500 USD.

Turniej finałowy:
1. miejsce = 1 000 000 USD;
2. miejsce = 500 000 USD;
3. miejsce = 300 000 USD;
4. miejsce = 180 000 USD;
5. miejsce = 130 000 USD'
6. miejsce = 85 000 USD;
7. miejsce = 65 000 USD;
8. miejsce = 40 000 USD.

Najlepszym zawodnikiem (MVP) Ligi Narodów sezonu 2026 został wybrany nasz Tomasz Fornal! W nagrodę otrzymał czek na 30 000 dolarów.

Ponadto najlepiej punktującym siatkarzem i najlepszym atakującym został Bułgar Aleksandar Nikołow, najlepiej blokującym Kanadyjczyk Jackson Howe, najlepiej serwującym Dmytro Janczuk z Ukrainy, najlepszym rozgrywającym Francuz Antoine Brizard, najlepiej broniącym Argentyńczyk Franco Massimino i najlepiej przyjmującym Mathis Henno z Francji.

Każda z tych siedmiu nagród to premia w wysokości 10 000 dolarów.

Polscy siatkarze, wygrywając z USA 3:2 w finale Ligi Narodów, aż do 51,72 punktów powiększyli przewagę nad drugimi Włochami i utrzymali pozycję lidera światowego rankingu FIVB.

Po zakończeniu rozgrywek Ligi Narodów reprezentacja Polski w rankingu będzie prowadzić z dorobkiem 407,56 punktów. Drudzy Włosi tracą 51,72 pkt., a trzeci Rosjanie 55,46 pkt.



FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Polscy siatkarze są nie zatrzymania. Teraz wygrali Ligę Narodów

eprasa.pl f0a4de73b8

SKOKI NARCIARSKIE

Letnie skakanie w tym roku zaczęło się w Wiśle. Kacper Tomasiak liderem polskiej reprezentacji

Tomasz Kuczyński, Jacek Sroka

W weekend na skoczni imienia Adama Małysza w Wiśle Malince odbyły się konkursy Letniej Grand Prix. W sobotę Polaków zabrakło na podium.

Do Wisły nie przyjechał żaden zawodnik z pierwszej dziesiątki klasyfikacji generalnej ostatniej edycji Pucharu Świata, bo czołowe reprezentacje w tej dyscyplinie sportu nie przysłały swoich najlepszych skoczków.
Polacy w sobotę wystawili 10-osobowy skład, bo w pierwszym konkursie na skoczni imienia Adama Małysza mogli skorzystać z kwoty krajowej przysługującej gospodarzowi imprezy.

Nawet w tym gronie Biało-Czerwoni jednak nie błyszczeli, a jedynym zawodnikiem, który nawiązał walkę o miejsce w czołówce, był Kacper Tomasiak.

Niestety, znów tylko tło za Tomasiakiem

Trzykrotny medalista olimpijski ostatnich igrzysk po 1. serii był szósty. Zawodnik Klimczoka Bystra skoczył 119,5 m, ale miał sporą rekompensatę za wiatr i do podium tracił 7,2 pkt.

Zdecydowanym liderem na półmetku rywalizacji był Naoki Nakamura. Japończyk miał aż 7,2 pkt przewagi nad Austriakiem Marco Woergoetterem oraz 9 pkt. nad Szwajcarem Gregorem Deschwandenem.

Poza Tomasiakiem do serii finałowej z Polaków awansowali jeszcze Dawid Kubacki, który skoczył tyle samo, co on, ale był 19., Maciej Kot, który poszybował na 119 m i był 21., oraz Paweł Wąsek i Klemens Joniak, którzy wylądowali na 117. metrze i zajmowali ex aequo 29. lokatę – ostatnią dającą kwalifikację.

Na 1. serii rywalizację w sobotę zakończyli: 31. Aleksander Zniszczoł, 32. Kamil Waszek 37. Piotr Żyła, 44. Jakub Wolny i 56. Łukasz Łukaszczyk. Waszek i Łukaszczyk debiutowali w LGP. Po dyskwalifikacji Norwega Kristoffera Erika Sundala wszyscy przesunęli się po zakończeniu zawodów o jedną pozycję.

Nieoczekiwany zwycięca

W serii finałowej najlepszy z Polaków, Tomasiak, był siódmy. Zwyciężył po raz pierwszy w LGP Nakamura, wyprzedając o 5,7 pkt, Woergoettera oraz o 9,3 pkt. Deschwandena.

W niedzielę reprezentanci Polski przystąpili do kwalifikacji w następującym składzie: Tomasiak, Kubacki, Kot, Joniak, Wąsek i Waszek.



FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

Kacper Tomasiak utrzymuje poziom z zimy i kontakt z czołówką. Niestety, reszta naszej kadry stanowi jedynie tło dla naszego lidera

LETNIA GRAND PRIX W WIŚLE

SOBOTA

Konkurs indywidualny mężczyzn: 1. Naoki Nakamura (Japonia) – 271,7 pkt (129,0/135,0 m), 2. Marco Woergoetter (Austria) – 266,0 (125,5/132,0), 3. Gregor Deschwanden (Szwajcaria) – 262,4 (123,5/129,0), 4. Danił Wasiljew (Kazachstan) – 254,3 (121,0/132,5), 5. Roman Koudelka (Czechy) – 252,8 (121,0/131,5), 6. Juri Kesseli (Szwajcaria) – 252,0 (122,5/132,0), 7. Kacper Tomasiak – 251,4 (119,5/128,0).... 10. Dawid Kubacki – 244,1 (119,5/126,5), 16. Maciej Kot – 240,2 (119,0/125,0), 21. Klemens Joniak – 236,9 (117,0/124,0), 27. Paweł Wąsek – 233,9 (117,0/124,5), 30. Aleksander Zniszczoł– 110,6 (117,0), 31. Kamil Waszek – 109,8 (115,5), 36. Piotr Żyła – 108,6 (116,0), 43. Jakub Wolny – 102,8 (111,0), 55. Łukasz Łukaszczyk – 86,0 (106,5).

Konkurs indywidualny kobiet: 1. Ema Klinec (Słowenia) – 227,4 pkt. (127,5/127 m), 2. Silje Opseth (Norwegia) – 211,1 (129,5/118), 3. Josephine Pagnier (Francja) – 209,1 pkt. (124/123).... 11. Anna Twardosz – 180,6 (117,5/121), 35. Kamila Karpiel – 30,7 (86).

Pozostałe zawody cyklu LGP 2026

8-9 sierpnia – Courchevel (Francja);
19-20 września – Rasnov (Rumunia);
24-25 października – Klingenthal (Niemcy)

KOLARSTWO

Rusza 83. edycja wyścigu Tour de Pologne. Tym razem pod hasłem „Północ-Południe”

Paweł Wiśniewski

W dniach 3-9 sierpnia br., światowa elita kolarzy ścigać się będzie w 83. Tour de Pologne. Tegoroczna edycja wyścigu odbędzie się pod hasłem „Północ-Południe”. Zmagania rozpoczną się w Gdyni, a zakończą pod Kopalnią Soli „Wieliczka”.

Na siedem dni, do Polski zawitają najlepsze drużyny UCI WorldTour, a na szosie powalczą również Polacy. Łącznie cykliści przejadą ponad 1100 kilometrów!

Na „dzień dobry” kolarze uczestniczący w 83. Tour de Pologne UCI WorldTour udadzą się na ponad 230-kilometrową trasę z Gdyni w stronę Koszalina. Tam poznamy pierwszego etapowego zwycięzcę i lidera Klasyfikacji Generalnej ORLEN.

Dodatkowo na najdłuższym odcinku ulokowane zostaną trzy Premie Lotne LOTTO – w Kartuzach, Bytowie i Polanowie, trzy Premie Specjalne – w Parchowie, Kołczygłowach (Premia Specjalna im. Czesława Langa) i Kępicach (Premia Specjalna Starosty Słupskiego) oraz Premia Górska PZU na Górze Chełmskiej.



FOT. LUCYNA NENOW / POLSKA PRESS

W tym roku, „królewski” etap odbędzie się w Bukowinie Tatrzańskiej i BUKOVINA Resort na dystansie 126 km, z 6 premiami górskimi

Rywalizacja – podobnie jak przed rokiem – zakończy się 9 sierpnia etapem indywidualnej jazdy na czas pod Kopalnią Soli „Wieliczka”. Tam poznamy triumfatorów Klasyfikacji Generalnej ORLEN, Klasyfikacji Punktowej Lang Team, Klasyfikacji Górskiej PZU, Klasyfikacji Najaktywniejszy Zawodnik LOTTO i Klasyfikacji Drużynowej Decathlon.

Wstępna lista startowa wyścigu obfituje w nazwiska z najwyższej półki. Znaleźli się na niej m.in. byli zwycięzcy klasyfikacji generalnej – Portugalczyk João Almeida (UAE Team Emirates-XRG), Brytyjczyk Ethan Hayter (Soudal Quick-Step) i najlepszy polski kolarz Michał Kwiatkowski (Netcompany INEOS).

Zmagania transmitować będzie Telewizja Polska, a dostępne będą także na antenie Eurosportu oraz na platformie streamingowej HBO Max.

INNE

Klęska Błachowicza. Medal polskich wioślarzy na ME

Zbigniew Czyż

Jan Błachowicz został znokautowany na gali UFC Fight Night 283 w Belgradzie. Polak przegrał w Serbii na punkty z reprezentantem Nowej Zelandii Navajo Stirlingiem (0:11).

Niepokonany Stirling nie dał Polakowi żadnych szans. Nowozelandczyk załatwił sprawę już w pierwszej rundzie. Dwie minuty i cztery sekundy przed końcem tej części pojedynku sędzia przerwał walkę, a Stirling triumfował po technicznym nokaucie.

We wcześniejszych walkach z udziałem Biało-Czerwonych Mateusz Rębecki wygrał w wadze lekkiej przez techniczny nokaut z Kyle'em Prepolecem, a Marcin Tybura przegrał na punkty w wadze ciężkiej z Aleksandarem Rakiciem.

Medal Polaków na ME w wioślarstwie

Dominik Czaja, Mateusz Biskup, Mirosław Ziętarski i Konrad Domański zdobyli we włoskim Varese srebrny medal mistrzostw Europy w wioślarstwie w konkurencji czwórek podwójnych. Wygrali Niemcy przed Chorwatami.

W sobotnich finałach wystąpiła też kobieca czwórka podwójna w składzie: Zuzanna Lesner, Wiktoria Kalinowska, Barbara Stępień i Zuzanna Jasińska. Polki zajęły piątą lokatę. W niedzielę w finale A popłynęła też męska ósemka.

Kadra Polaków na ME w lekkoatletyce

74 osoby znalazły się w reprezentacji Polski na lekkoatletyczne mistrzostwa Europy w Birmingham (10-16 sierpnia). W składzie są wszystkie największe gwiazdy kadry, m.in. Natalia Bukowiecka, Pia Skrzyszowska, Anita Włodarczyk czy Paweł Fajdek. – Chciałbym włączyć się do walki o medale. Wygrywałem w tym sezonie ze wszystkimi czołowymi zawodnikami z Europy – mówi Fajdek.

Poza wymienionymi, wśród polskich szans medalowych są także biegaczka Klaudia Kazimierska, skacząca wzwyż Maria Żodzik i Skrzyszowska, chodziarka Katarzyna Zdziebło i sztafety 4 x 400 kobiet oraz mikst 4 x 400 m.

eprasa.pl f0a4de73b8

TENIS

Biało-Czerwoni ze Świątek na czele zaczynają grę w Kanadzie. Iga wysłała sygnał, ekspert bezlitosny

W Toronto i Montrealu ruszają tenisowe turnieje z udziałem Polaków. Rozmawiamy z Lechem Sidorem, byłym tenisistą, prowadzącym podcast „Trzeci Serwis" i komentatorem Eurosportu, który krytycznie ocenia szanse naszych tenisistów

Zbigniew Czyż

W Toronto rozpoczął się „tysięcznik" kobiet, w którym zagra m.in. Iga Świątek. Czego można się spodziewać po ósmej obecnie tenisistce świata?

Odpowiem przewrotnie jej własnymi słowami. Iga niedawno temu przekazała nam wszystkim, że ona to za bardzo teraz na nic nie liczy i nie będzie patrzeć na wyniki. Trudno zatem przewidzieć, czy będzie grać w turniejach na zasadzie sztuka dla sztuki. Wysłała jasny sygnał i chyba na tym należy skończyć rozważania, na co będzie Świątek stać w najbliższym czasie.

Świątek dała do zrozumienia, że w ostatnim czasie zbyt dużo kosztowała ją ciągła presja związana z wynikami.

Zobaczymy, co przyniesie czas i kolejny duży turniej z jej udziałem.

W marcu związała się z trenerem Roigiem i o ile na początku wydawało się, że wreszcie po słabszych miesiącach coś w jej grze ruszy do przodu, o tyle teraz można chyba stwierdzić, że progresu nie ma. A może jest nawet lekki regres?

Problem Igi nie leży w tym, że ona nie umie zagrać forhendu czy bekhendu, ale w tym, że jej głowa i psychika nie wytrzymują pewnych założeń, które trener chce wprowadzać w życie. Gdy nie udaje się jej tego realizować, wraca do czasów współpracy z Wimem Fissette'em, gdy często była sfrustrowana. Wtedy wraca to szaleństwo piłek granych po płocie, niektórych kompletnie nieudanych spotkań. Wracają błędy i pośpiech. Wówczas Iga bardziej przegrywa sama ze sobą niż ktoś ją ogrywa.

Żeby ograć starą, dobrą Świątek, trzeba było naprawdę sporo się namęczyć.

Nieraz wyglądało tak, że jest wręcz niemożliwe, aby ją pokonać. Dziś nie trzeba wcale wielkich starań, aby wygrać z Polką. Wystarczy trochę pobiegać, poprzebijać piłki, a resztę zrobi sama Iga.

W obecnym teamie dostrzega Pan przysłowiową chemię?



FOT. JAKUB PIKULIK

Sidor: Problem Igi nie leży w tym, że ona nie umie zagrać forhendu czy bekhendu, ale w tym, że nie wytrzymują jej głowa i psychika

Trudno powiedzieć, bo trenerzy się zmieniają, ale większość składu jest ta sama. Iga chyba bardziej ufa Darii Abramowicz, Maciejowi Ryszczukowi niż kolejnym szkoleniowcom.

Może potrzebuje jeszcze kogoś ekstra z tak zwanego doskoku, czyli drugiego trenera, o czym zresztą wspominała, że chciałaby zatrudnić?

Pojawiły się sygnały, że Roig nie będzie raczej jeździł po całym świecie przez jedenaście miesięcy w roku, bo może na to nie mieć do końca ochoty. Może taki drugi trener rzeczywiście byłby potrzebny, ale czy to Idze pomoże? Nie wiadomo, dopóki się nie pojawi. Świątek generalnie nie jest otwarta na przyjęcie do swojego sztabu byle kogo. Jest skryta i trzeba wiele czasu, aby ktoś nowy do niej dotarł. Będzie musiała nabrać przeświadczenia, że warto komuś zaufać i rzucić się za jego metodami pracy jak w ogień.

Tę dotychczasową, kilkumiesięczną współpracę Świątek z hiszpańskim trenerem jak Pan ocenia?

Jak patrzę na jego przeszłość trenerską, to nie bardzo widzę, że to jest dla Igi najlepszy trener na świecie. Wprowadzanie u niej bardziej spokojnej i cierpliwej gry do końca mnie nie przekonuje. Do tego nie trzeba też trenera z tak zwanej pierwszej ligi. Sam jego warsztat również mnie nie zwala z nóg. To nie był też nigdy trener Rafaela Nadala, tylko jego drugi trener stojący bardziej w drugim rzędzie. Roig był kimś od analiz, rozszyfrowania rywali. Nadal miał w karierze dwóch trenerów, swojego wujka Toniego oraz Carlosa Moyę, a także czternastu pomagierów. Roig był dobrym doradcą, ale nie był nigdy jego pierwszym trenerem.

Zatem z tej współpracy Świątek z hiszpańskim trenerem wielkich korzyści nie będzie?

Na ten moment nie jestem w ogóle pewien, czy on do niej dotarł tak na sto procent. A jeśli tak, to oprócz spokojnego grania, które jej zaproponował, a które wymyśliłaby również nawet sztuczna inteligencja, to ja nic ekstra nie widzę.

Podobnie jak w przypadku Igi Świątek sporą niewiadomą będzie postawa w Toronto Mai Chwalińskiej, która z powodu kontuzji na Wimbledonie nie pojawiła się na korcie przez miesiąc.

W przypadki Mai znak zapytania jest potężny, w ogóle nie wiemy, co się wydarzy. Jej dotychczasowa kariera naznaczona była kontuzjami, nie mówię już o różnych problemach mentalnych. Nigdy nie mogła zagrać nawet dwóch bardzo dobrych turniejów z rzędu na poziomie WTA 125 czy ITF. Rzadko kiedy grała, często była kontuzjowana.

Po niezwykle udanym dla niej Roland Garrosie rywalki będą już bardziej uważać na naszą reprezentantkę?

Niestety, ale tego się obawiam. Myślę, że one już na Maję czekają, żeby pokazać jej miejsce w szeregu, gdy będą się z nią mierzyły. Mają już naostrzone kosy. Dojście Chwalińskiej tak wysoko w rankingu dla tych większych gwiazd światowego tenisa, które chcą odgrywać pierwsze skrzypce, to jest potwarz. Czekają już na rewanż i nie będę jej lekceważyć, tak jak to miało miejsce w Paryżu. Każda, która trafi na Chwalińską, będzie chciała rzucić się jej do gardła na zasadzie bij mistrza.

W turniejach w Kanadzie i USA, na twardej nawierzchni, na której będą rozgrywane zawody, warunki fizyczne będą niemal tak samo ważne, jak technika?

Na nawierzchni ziemnej czy na trawie czasami można coś, kolokwialnie mówiąc, zaczarować. Tam nieraz zdarzają się niespodzianki, można zastosować różne warianty taktyczne i Maja często rywalkom wybijała tenis z głowy. Ale za oceanem ciężko będzie jej przejąć inicjatywę. Maję czeka dużo pracy, aby wygrywać mecze na tej nawierzchni, bo nie dysponuje najlepszymi warunkami fizycznymi. Zapowiada się prawdziwa orka.

W najbliższych turniejach zagrają też Magda Linette i Magdalena Fręch, a w turnieju mężczyzn Hubert Hurkacz i Kamil Majchrzak. Panowie mogą pozytywnie zaskoczyć?

Majchrzak dobrze zaprezentował się w turnieju w Waszyngtonie w meczu z Paulem i to jest dla mnie pozytywny prognostyk. U Kamila nastąpiła pewna zmiana, bo wcześniej nieraz dobrze prezentował się w wielkich szlemach, ale przegrywał, a teraz to poszło w drugą stronę. Zaczął zwyciężać coraz więcej spotkań z tenisistami z czołówki. W ostatnich spotkaniach z zawodnikami z pierwszej dwudziestki rankingu ma bilans 5-1. Do tej pory były piękne katastrofy – grał pięknie, ale przegrywał.

A Hurkacz jest jeszcze w stanie odgrywać znaczącą rolę w światowym tenisie?

Od momentu, gdy wrócił po kontuzji, nie jest w stanie zagrać serii świetnych spotkań. W jego przypadku znak zapytania jest podobny jak u Igi Świątek. Hubert ma chyba świadomość, że powoli coraz mniej będzie mógł liczyć na jakieś wielkie sukcesy i może w związku z tym ta wielka presja, która na nim spoczywała po dojściu do półfinału Wimbledonu w 2021 roku, w końcu zejdzie. Przez lata ta presja go zjadała. Widać było, że bardzo się spina. Grał super w mniejszych turniejach i nawet je wygrywał, ale w tych wielkich szlemach nie był w stanie odpalić. Przy wielkim stresie jego zmęczenie było tak potężne, że po prostu po drodze się rozsypywał i grał tylko na trzydzieści procent swoich możliwości.

Poważna kontuzja kolana definitywnie przekreśliła jego szanse na powrót do czołówki?

Od tego momentu chyba cały czas z tyłu głowy ma asekurację. To widać, jak się porusza i w podświadomości ma obawę, że może się całkiem rozsypać. Nie jest już najmłodszy, trochę się nagrał, zarobił i ustawił sobie pięknie życie. I tu pojawia się pytanie, czy warto ryzykować i dalej tak ciężko orać, żeby narobić sobie takiej szkody, żeby zostać kaleką? Uważam, że od takich myśli nie jest wolny.

eprasa.pl f0a4de73b8

S24 **sportowy24.pl**

sport

ŻUŻLOWE GRAND PRIX

Podczas zawodów w Łodzi honoru polskiego speedwaya bronił Patryk Dudek
str. 21

IGA ŚWIĄTEK WRACA DO GRY



FOT. AGNIESZKA BIALIK

Nasza najlepsza tenisistka przegrywa ze... sobą – diagnozuje Lech Sidor
str. 23

SKOKI NARCIARSKIE

Letnie skakanie zaczęło się tym razem w Wiśle. Kacper Tomasiak utrzymuje poziom z zimy i kontakt z czołówką
str. 22

Wyścig Dookoła Polski na trwałe wpisał się do kalendarza elitarnego cyklu UCI World Tour. W tym roku pojedzie z Gdyni do Wieliczki



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Rusza 83. edycja Tour de Pologne. Przez tydzień będziemy podziwiali najlepszych kolarzy świata i przepiękne polskie krajobrazy *str. 22*

eprasa.pl f0a4de73b8